Nr. 11. Lwów, dnia 30. listopada 1896. Rok XIX



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

CIETRZEW.

Napisał
WŁADYSŁAW SPAUSTA.

III.

Obfitość cietrzewi w pewnych siedliskach. — Wędrówki podczas toków. — Siedliska izolowane. — Opierzenie. — Albinizm. — Pieczyste. — Cietrzew w polityce Ludwika XIV. — Ustawy ochronne. — Stosunek płci. — Skrzekot. — Znaczenie lisa.

Kto się specyalnie nie przypatrzył siedliskom cietrzewi w rozmaitych okolicach, ten nie uwierzy, jaką mnogość tego ptactwa posiadają jeszcze w chwili obecnej pewne lesiste ustronia naszego kaju. Pośród pasm na pozór jednako uposażonych przez naturę, występują pojedyncze miejscowości jako uprzywilejowane siedliska cietrzewi, których szczęśliwi właściciele niewątpliwie pcspieszyliby chętnym z pomocą i ułatwili nabycie materyału rozpłodowego na własnej ziemi. I nie wyrządzonoby wielkiej krzywdy łowiectwu miejscowemu ujęciem kilkunastu sztuk—bo tam na tokowiskach gra po kilkaset kogutów, a zimową porą obsiadują drzewa całe chmary tego ptactwa. Takim rajem cietrzewi miała być przed laty Słobódka leśna w Kołomyjskiem, Lachowice w Stryjskiem; takim jest pewna niedostępna kępa w Chlewczanach w Rawskiem, pewne miejscowości w Chrzanowskim i Brzeskim powiecie, osobliwie od czasu, gdy po wycięciu starodrzewów sosnowych, w gęstwi zapustów, znakomite dla pieleszy cietrzewi utworzyły się schroniska. Podczas gdy prawie wszędzie daje się dostrzegać w pewnym stopniu migracya cietrzewi, wpada to szczególniej w oko w lasach powiatu Chrzanowskiego, dokąd przybywają koguty aż ze Szląska pruskiego, i naodwrót wizytują znów lasy Szląskie cietrzewie nasze. Taka migracya w porze igrzyskowej ma wielkie znaczenie fizyologiczne u ptactwa, przywiązanego zresztą tak uparcie do pewnej miejscowości przez rok cały. Niezawodnie, że w ten sposób utrzymuje się odświeżeniem krwi siła rozpłodcza i nie degeneruje ród, jakby to nastąpić mogło, i jak to w samej rzeczy w wielu okolicach ma miejsce przy łączen u się w rodzinie najbliższej.

Szczególnie w izolowanych siedliskach cietrzewi, gdzie zasilenie krwią świeżą w porze igrzyskowej jest utrudnione, dają się widzieć w opierzeniu ptaków pewne lokalne, na pozór nieznaczne, a jednak charakterystyczne odznaki i różnice. Po największej części jest to rozpoczynający się albinizm, którego objawy dadzą się rozpoznać dopiero po porównaniu z upierzeniem ptactwa normalnie upierzonego. Cecha ta występuje bardzo często, i zdaje się być następstwem łączenia się w najbliższej rodzinie. Za myślą tą przemawiają analogiczne spostrzeżenia na drobiu domowym, przemawia również albinizm zupełny lub częściowy ptactwa

dzikiego na małych, izolowanych wyspach, u gatunków, nie okazujących wcale skłonności do albinizmu na większych kontyngentach.

Najczęściej dostrzedz można u kogutów pewne mniejsze lub większe partye zalbinizowanych piór, a mianowicie na podgarlu występuje częstokroć po wypierzeniu biała smuga, która w miarę odrostu coraz bardziej się zaciera.

Krom albinizmu istnieją u cietrzewi również znaczne, bądź rasowe, bądź indywidualne odmiany w upierzeniu. Szczególnie cieciorki przedstawiają całą skalę barwy tła, od jasno-płowej, przez rozmaite odcienia rudawizny aż do ciemno-brunatnej. U kogutów, stosownie do wieku, występują bardzo znaczne cechy, tak, że mogą posłużyć bodaj w przybliżeniu do ocenienia wieku ptaka.

Kogut młody po pierwszem wypierzeniu nie posiada jeszcze tej barwy, jaka go stroi w porze godowej, a i wtenczas, gdy starsze ptaki odznaczają się sukienką czarną, pełną sytych odblasków barw mieniących się, gdzie osobliwie na szyi i głowie, piersiach i grzbiecie granat z fioletem i szafirem o pierwszeństwo walczą, ptak młody ledwo słabym szmaragdowym połyskiem się odznacza. Skrzydła młodych ptaków wpadają w odcień bronzowy, częstokroć rdzawo-prążkowany — a barwa ta gubi się dopiero po kilku latach, tak, że w połączeniu z ubarwieniem reszty sukni, stanowić może doskonałą charakterystykę wieku. W ogólności pokrywy podogonowe są u kogutów czysto-białe, jednak u bardzo starych ptaków występują tam coraz gęściejsze czarne plamki, co wśród braku innych cech, daje może jedynie pewną podstawę oceny bardzo sędziwego wieku.

Metaliczny połysk piór, nie polegający, jak to już miałem sposobność napomknąć, na istocie jakichś materyalnych barwników, występuje najjaskrawiej w porze godowej; niemniej najszerzej w tej porze sięgają czerwone zabarwienia brodawkowatej skóry nad okiem, a barwa ta pochodzi od właściwego pigmentu, który (dr. Wurm) nazwano tetraoerythryną. Ptak w odzieży jesiennej, t. j. w nowem upierzeniu, posiada wprawdzie również czerwone smugi brodawkowatej skóry nad oczyma, jednak od brzegów jest ona drobnemi piórkami zakrytą, wskutek czego daleko mniejszą się być wydaje. Jest to najnieomylniejsza wskazówka, po której nawet na preparowanym ptaku porę jego ubicia rozpoznać można.

Koguty strzelane na toku nadają się najlepiej do preparowania, bo, jak to już wspomniałem, ptak w żadnej innej porze roku nie przedstawia na swej sukni takiego bogactwa barw, jak w porze wiosennej. Jeżeli chodzi o interes kulinarny, to znów jedynie ptaki, strzelane w późnej jesieni, mogą usprawiedliwić pochwały, jakie oddają gastronomowie pieczystemu z cietrzewia, bo nie wiem, czy istnieje na świecie choćby jedno podniebienie, któreby się na prawdę zadowolić potrafiło pieczystem z tokuna. Przypomina ono owego starego krzykacza podwórzowego, z którym wreszcie trzeba było coś zrobić, — to też po obcięciu grzebienia powierzono mu rolę kapłona, a kto chce mieć wyobrażenie, jak ta rola wypadła, niech spróbuje, a będzie miał choć słabe wyobrażenie o pieczystem z tokuna.

Ale wpadłszy na kwestyę, w której w ogóle *non est disputandum*, a w dodatku jeszcze bardzo słaby znawca przedmiotu, mógłbym zdaniem mojem wywołać chyba uśmiech politowania niejednego smakosza. Dlatego skracam o ile możności ten ustęp kulinarny, a natomiast przytaczam historyczną o pieczystem, z cietrzewia dykteryjkę, udowadniającą jak na dłoni, że jestem w tym kierunku zupełnym profanem.

Niewielkich zdolności wódz, a jeszcze niezgrabniejszy dyplomata, Ferdynand hr. Marchin popadł w niełaskę Ludwika XIV. Znając swego króla, postarał się on o względy pani Maintenon, a oprócz tego posłał kuchni królewskiej ze swych posiadłości parę cietrzewi, wiedząc, że trafi tem w najsłabszą stronę wielkiego amatora tej zwierzyny. Przy dobrym objadku w salonach markizy — wspaniale przyrządzone pieczyste z cietrzewi Marchina i w porę domówione słówko protektorki, udobruchały wnet króla, a gdy się obiad skończył, był on już świętego przekonania, że nikt tak dobrze nie pokieruje sprawą w przygotowywanej wyprawie do Włoch, jak hr. Marchin. Oddawszy tedy komendę wojsk swemu bratankowi, księciu Orleańskiemu, obdarzył hrabiego osobno daleko sięgającemi pełnomocnictwami. Rezultat tej protekcyi jednej kobiety i pary cietrzewi znany. Polityka Francyi doznała fatalnej porażki, a oręż ks. Eugeniusza rozgromił zastępy francuskie pod Turynem.

Nasze krajowe ustawy, a mianowicie z d. 19. lipca 1869 i z d. 30. stycznia 1875, niemniej nowo uchwalona ustawa, która dotąd światła dziennego nie ujrzała, chronią cieciorki bezwzględnie i przez cały rok, podobnie, jak to czynią ustawy wszystkich krajów koronnych Przedlitawii, i ustawy węgierskie. Strzelanie kogutów u nas dozwolonem jest od 1. września do 20. maja, zatem tylko sto dni w roku pozostaje na ochronę. W krajach niemieckich wiele ustaw prowincyonalnych dozwala strzelanie cieciorek w porze jesiennej i w początkach zimy. I tak strzelają tam cieciorki: w Oldenburgskiem od 1. września do 31. grudnia, w Prusiech od 1. września do 31. stycznia, w Sachsen Weimar od 1. września do 31. stycznia, w Wirtembergii od 1. listopada do 30. listopada, podczas, gdy n. p. w Bawaryi, podobnie jak w Austryi, ochrona cieciorek trwa przez rok cały.

Jakkolwiek bezwzględna ochrona płci żeńskiej w ogólności może mieć tylko czasowe znaczenie i po zupełnem uregulowaniu stosunków łowieckich niczem usprawiedliwić się nie daje, to przedewszystkiem daleko nam jeszcze do tych ideałów przyszłości, a szczególnie w łowiectwie kniejotek, zatem i zupełna ochrona cieciorek jest jeszcze na długo ze wszechmiar wskazaną.

Na zachodzie, gdzie już oddawna zwrócono baczną uwagę na ten powabny zwierzostan, uważają stosunek płci 1:3 lub 1:4 za najodpowiedniejszy. O ile mnie własne spostrzeżenia pouczyły, w kraju naszym, mówiąc w ogólności, stosunek ten jest zupełnie innym, a mianowicie uderza mała ilość cieciorek w porównaniu do kogutów, pomimo, że od dawnych już lat chroni je przez cały rok ustawa. Wprawdzie widząc cietrzewie tylko na igrzyskach, nietrudno dojść do zupełnie błędnych wyobrażeń, bo na tej arenie nasuwają się oku przeważnie koguty, a „wstydliwa“ cieciorka ukrywa się zgrabnie przed wzrokiem myśliwego. Jednak zapoznawszy się dokładnie w ciągu całego roku z tym zwierzostanem, przekonalibyśmy się, że we wielu siedliskach panuje wśród tych zwierzostanów istotnie nazbyt rażąca dysharmonia fizyologiczna płci, wywierając nader ujemny wpływ na przyszłość.

W dziewiczych stosunkach przyrody płeć samcza już samem agresywnem występywaniem i w oko wpadającem upierzeniem jest bardziej narażoną na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa. Jednych ubezwładnia zażarta walka doborowa, innych zmiata drapieżca, i w ten sposób wyrównuje się początkowa dysharmonia. W stosunkach kulturnych rzecz nieco inaczej się przedstawia; drapieżcy w powietrzu i na ziemi eksterminacyjną wypowiedziano walkę, lecz zato lasowe schroniska cieciorek niepokoi praca kulturna wrąca

we wszystkich zakątkach i narażając cieciorkę na psoty i krzywdy, o jakich nic nie wiedziały dawne czasy. Stąd całkiem już jasno wypływa rola myśliwego obecnej chwili: ochrona wszelkimi możliwymi sposobami cieciorek, przedewszystkiem zaś stworzenie zupełnie spokojnych miejsc na lęgi, a rozumne i bodaj na przybliżonej świadomości etatu oparte odstrzeliwanie kogutów tak na igrzyskach, jakoteż w porze jesiennej. Strzelanie na chybił trafił wszystkiego, co się tylko kogutem nazywa, lub co nam się takim być zdaje, jak to ma miejsce w łowach przed wyżłem, zanim się jeszcze opierzenie płci dostatecznie nie odznaczyło, — uchodziło niegdyś — dziś już jednak nie wystarcza, nie jest praktyką godną naszych czasów, godną łowiectwa, opartego na subtelnej świadomości praw przyrodniczych.

Ustawy, konieczne dla ogółu, są tylko szerokiemi krosnami, na których dopiero subtelne prawdy przyrody tkają haft szczegółów, nie dający się ująć w żadne na świecie paragrafy. Szanujmyż ustawy, ale patrzmy, jak prawdziwym kapłanom swej sztuki przystoi, na znaki przez naturę w okół wypisane; będzie to z pewnością jedyna i najpewniejsza nić Aryadny w labiryncie jej wielkich myśli i zagadek.

Na zbiorowiskach cietrzewi w porze igrzyskowej pojawiają się czasem w północnych dzielnicach ziem naszych tak zwane s k r z e k o t y, którym w pracy mej u głuszca (Patrz „Na tropach“, Lwów 1896, str. 310, 311, 312) dłuższy ustęp poświęciłem. Odsełając łaskawego czytelnika do rzeczy już omawianej, poprzestaję na lakonicznej o skrzekocie wzmiance. Najprawdopodobniej są to bastardy z głuszca i cietrzewia, noszące na sobie cechy obu gatunków w najgrymaśniejszem pomieszaniu. Wskazuje na to rzadkie pojawianie się skrzekotów, niemniej indywidualne różnice w kształtach i upierzeniu. W ostatnich już czasach, bo w r. 1892, wykazał p. Suchetet w Towarzystwie zoologicznem we Francyi nader wielką skłonność do hybrydacyi w rodzinie tetraonidów, niemniej stwierdził swemi badaniami ponownie, że płodność takich bastardów jest albo żadna, albo nader słaba, a w najlepszym razie dziedziczność sięga niedaleko, bo płody powracają do typów pierwotnych, z jakich powstały. W ogólności prace badawcze wspomnianego przyrodnika wskazują, że hybrydy w świecie skrzydlatym są o wiele częstsze, niżby się to zdawało; być może, iż wiele tak zwanych odmian, sprawiających tyle kłopotu ornitologom, i wywołujących coraz to nowe nazwy, są przemijającemi formami hybrydacyi.

W końcu niniejszego ustępu mej pracy jakaś nieprzeparta siła każe mi się zabawić w Jowialskiego, i wyśpiewać raz jeszcze piosnkę banalną o lisie i jego zgubnej roli, szczególnie względem zwierzostanów cietrzewich.

Kto tylko uczęszczał na igrzyska cietrzewi, wie dokładnie, czem tam jest mykita nawet dla ptactwa dojrzałego. Powtarzające się później przez cały rok zbrodnie jego kryje po większej części tajnia knieje i tylko gdzieniegdzie zdradza się ten drapieżca namacalnie. Dopiero skutki odsłaniają cały ogrom klęski. Kto zatem bezwzględnie lisa nie tępi, ten niechaj się nie kusi ani o cietrzewie, ani o inne ptactwo leśne, bo takie towarzystwo nawzajem się wyklucza. Rzecz dziwna — spisano już całe foliały o tym mykicie, niema ponoś myśliwego, którynby jakieś odrębne miał zdanie o roli tego drapieżcy — a przecież jednogłośnie i po niezliczone razy głoszony wyrok zatraty nie zostaje na lisie spełniony tak, jakby to należało; przeciwnie, od czasu do czasu można się spotkać z pochwalnymi hymny dla właścicieli pewnych rewirów, w których dość racyonalną hodowlę lisów się prowadzi.

Szczególnie dla okolicznościowych przybyszów z zachodu zwierzyna taka szczególny ma powab, jako coś zupełnie niezwykłego. To też zabawiają się doskonale ci panowie na naszych polowaniach, gdzie miejscami ledwie nie tyle lisów, co zajęcy znajdzie się na rozkładzie, a potem, wywdzięczajac się nam za tyle kosztem naszego łowiectwa dostarczonych im przyjemności, wydrwiwają nas lub opisują niby barbarzyńców na polu łowieckiem. Czas już przeto ostatni pozbyć się tej obojętnej względem lisa roli, która, jak to doświadczenia wskazują, jest zupełnie wystarczającą dla jego hodowli — czas już ogółowi myśliwych wystąpić agresywnie przeciw tej zmorze, udaremniającej wszelkie starania postępowe.

Ze wspomnień „Urwisza“.

(Dokończenie.)

Nie wiem, jak tam jest z tymi chłopcami, co chodzą do szkoły, ale co do mnie, niech bies porwie wszelką naukę! Co ten pan się namordował, żeby ze mnie zrobić psa dobrze ułożonego — to strach! To uczył warować i bił po nosie, to rzucał chustkę lub patyk i kazał aportować, to kładł wyborny kąsek przed nosem i nie pozwalał go tykać, dopóki nie zawołał pif!, to przymuszał do chodzenia za nogą — a jeśli po tych wszystkich utrapieniach skoczyłem na łóżko, żeby się choć dobrze na poduszce pańskiej wyspać, to jeszcze i zato brałem odlewane razy harapem.

Nie powiem, żeby źle było być psem na świecie, ale dalipan, że przy tej wściekłej nauce powstaje czasem taka gorycz w psiem sercu, że morda sama mimowoli warczy a oczy krwią zachodzą i zbiera ochota rzucić się na tyrana-człowieka, który swoje nieludzkie dokuczania nazywa nauką. Gdyby nie to, że ten bestya człowiek znowu w ciągu nauki uprzejmie przemówi, pogłaska, popieści i chleba da kawałek — to ta psia edukacya kończyłaby się nieraz tragedyą.

Więc i ja byłem zły jak prawdziwy pies na mego pana w ciągu całej zimy, gdy mnie zajadle edukował. Na szczęście ustało to jakoś pod wiosnę. Pan mój wyjechał na kilka tygodni zbierać gdzieś szkice do obrazu, skończyła się zatem cała nauka i rozleniwiłem się na dobre.

Pani nie wiele się o mnie troszczyła, kucharka w gruncie rzeczy lubiła mnie i nie źle mi jeść dawała, ale pamiętna przeprawy z polędwicą, zawsze spoglądała z ukosa, czy co gdzie nie łasuję. Bolało mnie to niewymownie, bo wierzcie mi państwo, że pies czuje o wiele głębiej od niejednego człowieka całą brzydotę kradzieży. Spoglądałem wówczas z wyrazem wstydu ale i urazy na kucharkę i wziąwszy ogon pod siebie, wynosiłem się cichaczem z kuchni, tak trudno było mi znieść te upokarzające podejrzenia.

A gdym wyszedł na podwórze i do ogrodu, to zapach wiosny tak mnie nęcił, że mało serce z piersi nie wyskoczyło. Podnosiłem trąbę do góry i wciągałem w siebie chciwie aromaty, którymi cała natura oddychała, lejąc je rozrzutnie w psie płuca. Krew krążyła we mnie szybko, czułem się jakiś pobudzony, energiczny i chociaż już nie młody psiuk, skakałem nieraz jak głupie cielę po ogrodzie, szczególniej gdy wyszedł tam mały Jaś i biegł przed nianką, krzycząc i wywijając biczykiem.

W tych to dniach wiosennego rozbudzenia trafiła mi się przykra awantura, którą muszę opowiedzieć z wszelkimi szczegółami.

Nieopodal od nas mieszkał jakiś urzędnik niestałych dochodów. Nie wiem co to było za dygnitarstwo i co ten dygnitarz miał do czynienia, to jednak wiem, że była u niego biała suka „Diana", szczególniejszego rodu, bo pochodząca z jakiegoś pokrzyżowania wyżłów z gończakami. Był to mój zły duch. Bogdajbym nie był jej nigdy poznał!

Pewnego dnia tej cudownej wiosny, gdym się bardzo nudził, leżąc do słońca na podwórzu, przybiegła „Diana" i zaczęła się ze mną bawić. W to mi graj! Skakaliśmy, przewracaliśmy się i gryźli żartobliwie. A miała ta bestyjka jakiś szczególny urok w lansadach, w przybieraniu poz i ocieraniu się o mnie. Zawsze mnie wtedy przejmował szczególny dreszcz rozkoszy, czułem się podniecony i gotów do wszelkich wybryków. Otóż i teraz, przyskakując ku mnie i ocierając się o mnie, pełna pokus, wywiodła mnie Diana za bramę, na drogę, a wkrótce i w pole.

Trafiło mi się to po raz pierwszy w życiu, bo dotychczas, idąc w ślad za mą rodzicielką, która domu i podwórza sama nie opuszczała, nigdy się po za obejście na własną nogę nie wyrywałem. Lecz teraz, ulegając złemu przykładowi i pokusie łaskotliwych ocierań się Diany, nie czułem wcale wyrzutów sumienia. A gdyśmy się znaleźli daleko w polu, pod laskiem, okrytym świeżą zielonością, byłem tak upojony wiosennemi woniami, że zapomniałem o całem mem wychowaniu, o wszystkich obowiązkach psa porządnego, o całym świecie.

Wkrótce jednak, choć upojony rozkoszą, zmiarkowałem, że Diana nie dla samej przyjemności spaceru mnie tu wyprowadziła. Gdyśmy się bowiem dostali na łan żyta, okryty śliczną wiosenną runią, poczęła uważnie, z nosem na dół spuszczonym, iść bruzdami i niezadługo wypędziła z nich młodego szaraka.

Ach, jakem go zobaczył! Wszystka krew uderzyła mi do oczu, szczeknąłem głucho i począłem go ścigać. Szarak pomykał jak strzała i kierował się ku laskowi. Ja wyciągałem się jak mogłem, lecz on jeszcze lepiej i byłby pewnie dopadł do lasu i schronił się tam bezpiecznie, ale przebiegła Diana umiała temu zaradzić. Zamiast biedz razem ze mną, wysunęła się już od samego początku w bok i zabiegała mu milczkiem od lasu tak, że zając musiał ciągle zbaczać ku moczarowi, który się ciągnął na lewo. Co chciał zmienić kierunek, to go Diana zręcznymi obrotami nazad na moczar zawracała. Stało się tedy, że biedny kopyra wpadł na trzęsawisko, a że tutaj co chwila się zapadał, więc dogoniliśmy go z łatwością i natychmiast zadusili.

Dla mnie była to pierwszyna, uczułem więc pewien wstręt, gdym zdławionym zającem o ziem uderzył. Zmęczony jak nieboże stworzenie, zziajany, z ozorem wywalonym położyłem się na ziemi, żeby odpocząć. Ale Diana, mająca w tem jak widać wyborną wprawę, zabrała się do tranżerowania zdobyczy, i obdzierając zręcznie skórę z turzycą, odsłaniała wyborne, dymiące kawały mięsa. Skusiły one i mnie, podzieliliśmy się też nimi po przyjacielsku, i wkrótce znikł upolowany kopyra w naszych żołądkach, zostawiając tylko twardy łeb ze słuchami, skoki i mnóstwo turzycy ze skórą.

Gdyśmy wrócili z pola, czułem, że źle się stało, więc zakradałem się cichaczem na podworze z rzadką miną i ogonem na dół spuszczonym.

— Gdzieżeś ty się włóczył gałganie! — zawołała kucharka, trzymając się pod boki.

Przywarowałem i przyłasiłem się ku niej, chcąc ją ułagodzić.

— Urwisz! A to prawdziwy urwisz! — zawołała — jak on wygląda! Zachlastany, zabłocony... A, poczekaj ty gałganie!

Na tę reprymendę przyczołgałem się jeszcze bliżej i wstawszy polizałem ją w rękę.

To widocznie ułagodziło wzburzenie kucharki, bo nietylko, że mnie potroszę mokrą ścierką powycierała, ale mi jeszcze zapomniany obiad podsunęła.

Zbliżyłem się do miski, zacząłem coś z grzeczności chleptać, lecz wkrótce odwróciłem się i poszedłem w kąt leżeć.

— A to zbytnik! Jeszcze jeść nie chce — zawołała kucharka. — A gdzieżeś ty się psiajucho obżarł?

Nie odpowiadałem już nic na te apostrofy, gdyż byłem okrutnie zmęczony. Kiwnąłem tylko życzliwie ogonem i wkrótce zapadłem w sen bardzo twardy, w którym śniła mi się jeszcze ciągle pogoń za szarakiem.

Ach, jakże łatwo przestępstwo jedno ciągnie za sobą dalsze! Doznałem tego niestety na sobie. Tak mi zasmakowała surowa pieczeń zajęcza, że dałem się wnet wyciągnąć na drugą i trzecią taką wycieczkę.

Oczywiście, eskapady te zwróciły na siebie uwagę domowników, a tymczasem wrócił i mój pan z podróży i nie bez tego, żeby mu o moich prawie całodziennych tajemniczych znikaniach nie opowiadali. Już przywitawszy się ze mną dodał k lka słów, dających do myślenia. Poklepał mnie życzliwie po głowie i rzekł:

— Pies ładny, pies dobry, ale słyszę, że pies się gdzieś włóczy? Pies ma nieczyste sumienie, pies oczy spuszcza... Ej, będzie bieda!

I była w istocie bieda co się zowie!

Już pan był w domu, gdy pewnego, bardzo wczesnego poranku, zakradła się znowu Diana na nasze podwórze. Uczułem w sobie zrazu jakby chęć oporu — nie chciałem się dać uwieść — ale trudno było nie uledz Dianie! Chciałbym widzieć człowieka, przecież o wiele od psów mądrzejszego, czyby się nie dał uwieść płci pięknej przy takich umizgach i pokusach? Otóż i ja, choć miałem poczucie, że źle czynię, dałem się w końcu sprowadzić na bezdroża i niech usprawiedliwieniem mojem będzie to, iż mądry człowiek nie jest w obec pokus płci pięknej oporniejszy.

Tym razem polowanie udało nam się wybornie i dość szybko, lecz w chwili, gdyśmy zię zdobyczą dzielić zaczęli, wykonano na nas zdradziecki napad. Polowy, którego zresztą miałem zaszczyt znać z widzenia, podszedł ukradkiem, chwycił mnie za kark i wziął na sznur. Diana była baczniejszą, zwróciła już wcześniej uwagę na manewry polowego i umknęła.

Nie pomogły szarpania się, a nawet warczenia. Polowy skroił mnie parę razy postronkiem na uśmierzenie humorów i wziąwszy do torby *corpus delicti*, tj. nadszarpanego zająca, poprowadził mnie jak cielę na sznurku do domu.

Jeszcze dziś dreszcz mi po skórze przebiega, gdy wspomnę na ten dzień okropny. Co mi się działo, gdy polowy stanął ze mną przed panem, nadarmo siliłbym się opisać. Wstyd i bojaźń z nóg mnie waliły. Czekałem z rezygnacyą na razy, które się posypią, lecz pan — rzecz szczególna — nie zabierał się wcale do harapa, tylko zawołał do polowego:

— Daj tu worek!

Wszystko to działo się na podwórzu. Polowy przysunął zrzucony na ziemię worek z zającem, a pan kazał go rozwinąć i krzyknął:

— Wsadź go do środka!

Spełniony został wyrok... Polowy zdjął mi postronek ze szyi, wsunął mnie przemocą do worka, gdzie się znajdował nadszarpany szarak i zawiązał.

Co się ze mną wówczas działo — nie umiem wyrazić. Spotkała mnie kaźn całkiem niespodziewana. W ciemnem, dusznem więzieniu znalazłem się sam na sam z moją ofiarą. Chciałem się od niej odsunąć, szarpnąłem się — i nadaremnie. Konwulsyjne rzucania sprawiły tylko tyle, żem się cały osmarował farbą zajęczą. Miałem jej pełny pysk i nos, czułem ją wszędzie, dusiła mnie, stawała się obrzydzeniem, którego znieść nie byłem w stanie. Jeszcze raz i drugi szarpnąłem się gwałtownie i padałem bezsilny. Zacząłem tedy skowyczeć z rozpaczy i czułem jakby łzy w oczach.

Co sobie myślał o mnie mój pan nielitościwy — nie wiem — dość, że w około było cicho i upływała minuta za minutą, dla mnie prawie śmiertelne. Osłabłem, byłem już bliski uduszenia, gdy wtem rozwiązano worek i pozwolono mi z niego wyleźć

Pan stał nademną, pogroził mi i rzekł: —

Nie będziesz ty już więcej uganiał za zającami!

Potem wzięto mnie na smycz i uwiązano w sieni.

Byłem złamany, starty, zniweczony. I proroczemi stały się słowa mojego pana, gdyż odtąd, gdyby mi kto był złote góry dawał, nie byłbym pomknął za szarakiem. Zresztą brakło i pokusy, bo podobnie jak mnie, wzięto także Dianę na łańcuch i nie puszczano przez kilka tygodni. Wymusił tę karę polowy na jej właścicielu, gdyż, jak się później pokazało, właściciel ten, chociaż nie dzierżawiący żadnego polowania, wyzyskiwał czasem na własną rękę szczególne zdolności Diany w wypatrywaniu i wyruszaniu szaraków, i wychodził z nią ukradkiem na polowania. Wtedy dopiero zrozumiałem, że może dlatego nazywał się urzędnikiem „niestałych dochodów“.

Diana zresztą przypłaciła wkrótce życiem swą niesłychaną pasyę kłusowniczą. Któryś z uprawnionych właścicieli polowania spotkał jąganiącą na własnem terytoryum i wpakował jej nabój pod lewą łopatkę.

* * *

Epizod z Dianą i straszna kaźń, którą wówczas przeszedłem, wpłynęły dodatnio na dalsze moje usposobienie i edukacyę myśliwską. I dla najwybredniejszego Niemca byłem najzupełniej „hasenrein“, a przy polowaniach na przepiórki, kuropatwy, kszyki, dubelty i w polowaniach stawowych na ptactwo wodne doprowadzałem do doskonałości.

Gdy mnie puścili ze smyczy po kilkotygodniowej uwięzi, w ciągu której dość się nawyłem, nie przychodziło mi wcale na myśl wybierać się samemu na łowy. Nawet nie czułem potrzeby takich bezecnych wybryków, gdyż pan zajmował się mną więcej i nie pozwalał mi pola zalegiwać.

Nadszedł upalny lipiec. Pan mój miał zapewnione polowanie na kaczki na dużym, trzcinami zarosłym stawie o pół milki od naszego mieszkania. Tam tedy wybraliśmy się pewnego dnia rano.

Czas był prześliczny. Niebo bez chmurki — powietrze łagodzone lekkim wietrzykiem, który pochylał bujne kłosy zbóż, roznosił uskrzydlone nasiona ziół i ćwierkanie koników polnych — promienie słońca palące, lecz nie nużące — wszystko to nawet mnie chociaż psu, wydawało się pięknem.

Wkrótce stanęliśmy nad stawem. Stawniczy czekał już na nas z czółnem przy brzegu. Zamieniwszy parę słów ze stawniczym, wszedł mój pan do łodzi, usiadł w pośrodku ze strzelbą na kolanach i przywołał mnie do nogi. Stawniczy przykucnął za nami w tyle, w samym końcu czółna i posługując się długiem, wąskiem wiosłem, którego głównie jako żerdzi używał, odepchnął łódź od brzegu.

Pomykaliśmy po srebrzystej powierzchni stawu tak cichutko jak duch czółna a nie czółno rzeczywiste i wkrótce zapuściliśmy się w długą ulicę, wyciętą między szuwarami i trzcinami. Pan mój milczał, stawniczy także, uderzenia wiosła nie było słychać, otaczała nas przeto głucha cisza, wśród której cichutką melodyę wygrywał tylko lekki powiew na kłosach trzcin i traw.

Nagle zatrzymał czółno stawniczy, a dotknąwszy pana, wskazał palcem na prawo. Tu, przez przejrzystą zasłonę rzadkiej trzciny, ukazał się nam widok zachwycający. Całe stadko cyranek pląsało po otwartej halawce, to prześcigając się, to nurkując. Ja podniosłem się na nogi, trzęsłem się jak w febrze, a stawniczy położył mi rękę na karku, abym był cicho; pan mój tymczasem, zamiast podnieść strzelbę do oka, wydobył tekę z łodzi, otworzył ją i począł coś cicho rysować. Myślałem, że mnie ogień spali. Mieć taki widok przed sobą i nie strzelać, ale rysować! Zacząłem pogardzać moim panem jako myśliwym, tem bardziej, że to dość długo trwało. Ale na szczęście cyranki nas nie zauważały. Gdy więc pan skończył szkicowanie, złożył tekę, podniósł się cicho ze strzelbą w ręku i dał znak. Stawniczy stuknął nagle wiosłem o brzeg czółna Rozległ się odgłos stuknięcia, kilka cyranek zerwało się w górę, pan mój strzelił i jedna spadła na wodę.

Teraz przyszła kolej na mnie. Hulnąłem do wody, kilku potężnymi ruchami łap przebyłem odległość i przyniosłem ubitą cyrankę do czółna. Pokazało się dopiero wtedy, że jestem wybornym pływakiem. Posypały się więc pochwały i kilka przyjaźnych poklepań po głowie, które mi sprawiły wiele radości.

Zanim przejechaliśmy cały staw, musiałem jeszcze cztery razy pójść do wody, a przybiwszy do brzegu, mieliśmy w czółnie trzy krzyżówki, cyrankę i łyskę.

Był to początek moich sławnych później stawowych polowań. Zadziwiałem myśliwych nadzwyczajną pewnością, z jaką wynajdywałem postrzelone kaczki, kryjące się wśród najgęstszego lepiechu. Żadne zielska podwodne nie były w stanie tamować mych ruchów; przezwyciężałem wszystkie trudności i byłem pierwszorzędnym legawcem do wody.

Gdyśmy pod wieczór z tej prześlicznej wycieczki lipcowej wrócili do domu, byliśmy obaj z mym panem jak tryumfatorowie witani. Nie szczędzono nam karesów, zwłaszcza, że zaopatrzyliśmy kuchnię w smaczne pieczyste.

Pan mój, zrzuciwszy zmoczone ubranie, wdział pantofle, przebrał się szybko w bardzo lekki negliż z białej flanelki i zasiadł do kolacyi, przy której opowiadał pani malowniczo różne szczegóły naszej wycieczki. Ja dostałem pro-

tekcyjną porcyę w kuchni. Gdyśmy się nasycili, przeszedł pan do pracowni na cygaro, a ja za nim, szukając wygodnego kąta, aby kości wyprostować.

— No Urwiszku! Napracowaliśmy się dzisiaj — rzekł pan, siadając na szezlągu. — Poczciwy piesek, spisał się znakomicie!

Słysząc tę przyjaźną przemowę, podszedłem do pana i położywszy łeb na kolanie, spoglądałem mu w oczy z niewymowną wdzięcznością.

— Odkąd Urwisz ma rozum — mówił pan dalej, głaszcząc mnie po głowie — wszyscy go kochają. Mądry piesek! dobry piesek!

Lecz tę rozmowę dwóch przyjaciół przerwało cichutkie wejście pani. W powiewnym negliżu, z rozpuszczonymi, lekko podwiązanymi włosami, z rękami zupełnie obnażonemi, eteryczna jak sylf nadziemski, przysunęła się do pana i zarzuciła mu ramiona na szyję. On też odrzucił czem prędzej papieros, objął jej kibić i przyciągnął ku sobie. Ja nie miałem zrazu ochoty ustępować z mego stanowiska, lecz musiałem uznać pierwszeństwo praw mej pani i odsunąwszy się, stanąłem nieopodal. Gdy jednak pani siadła na kolanach u pana, gdy zawisła ustami na jego ustach, gdy zaczęli coś słodko szeptać i jeszcze bardziej się przyciskać — wsunąłem się cichaczem pod szezląg, jak na dyskretnego legawca przystało.

Co tam między nimi było — nie wiem, a gdybym nawet wiedział — nie powiem, bo to do psich pamiętników nie należy. Wolę powiedzieć, żem zasnął jak kamień po trudach i kąpielach całodziennych.

* * *

Od tego czasu rozpoczęły się lata mej sławy.

W ilu polowaniach brałem udział, ile wystawiłem kuropatw, kszyków, dubeltów — ile kaczek z wody aportowałem, czyżbym był w stanie wyliczyć? Słynąłem szeroko i daleko jako najlepszy wyżeł, z wiatrem nieporównanym, z cudownym temperamentem i z ułożeniem, które, gdyby nie było o wiele mądrzejsze od ułożenia ludzkiego, możnaby nazwać salonowem.

Lecz sława jest jak rakieta puszczona w powietrze. Chwilkę tylko trzyma się na najwyższym punkcie, a potem spada łukiem znowu ku tej samej ziemi, na której wyrosła.

Węch mój psuł się powoli, tak, że począłem dawać fałszywe sygnały — uszy, poprzecinane na ostrych trawach błotnych, raniły się bezustannie — najgorzej zaś, że wskutek zbyt częstych kąpieli nabawiłem się po czterech latach reumatyzmu, który mnie zniechęcał do wycieczek i obniżył znacznie temperament łowiecki.

Schodząc ze stopnia na stopień, stałem się wreszcie psem-emerytem, którego czasem jeszcze zaprzęgają do wózeczka dziecinnego, lecz w ogóle mają za pieczeniarza, siedzącego na łaskawym chlebie.

Stałem się melancholikiem, oczy mi trochę kaprawieją, z pyska ciągnie się ślina starego smakosza, gdy patrzę na łakocie, a do kości, z których się tyle smaków w młodych latach wygryzało, nie mam już zębów.

Nie pilnowany przez nikogo i nikomu niepotrzebny, zaopatrzony tylko dla porządku obrożą z adresem mego pana, nawykłem do włóczęgi. Wstyd mi to wyznać, lecz wciągnąłem się do spacerów codziennych, które się kończą koło jatek. Nie dlatego, żebym był głodny, bo mi stara kucharka nie żałuje strawy, ale zdaje mi się, że przychwycony gdzieś okruch chrząstki, szczątek wątroby i bodaj jaki ochłap, byle surowy, jakoś mnie jeszcze orzeźwia i siły reperuje. Schodzę się tu z psią chołotą najgorszego kalibru, bez halsztuków, brudną, z włosem zjeżonym na karku, wstrętnie żarłoczną — i wstydzę się okrutnie tego towarzystwa. Ale cóż! nie mogę odwyknąć od nałogu, a upadlam się do tego stopnia, że nietylko podkradam bezwstydnie, co się gdzie da, lecz nawet żebrzę, patrząc miłosiernie w oczy rzeźniczka, ćwiartującego w kramie swój krwawy towar.

Niedawno temu spotkała mnie najostatniejsza kompromitacya. Zostałem koło jatek schwytany przez hycla! O obronie nie było i mowy. Uwikłany podstępnie za nogę, i złapany silną ręką za kark, wsunięty zostałem do zakratowanego wózka, gdzie już siedział jaki tuzin psiuków.

Cóż to za ohyda, co za upadek! Mopsy, kundle, rattlery — wszystko to tłoczyło się tu razem i lamentowało na przeróżne głosy. Człowieka, któryby znał psią mowę, byłyby skruszyły te lamenty i rozpacze — ale hycel nic sobie z tego nie robił. Odór psiego strachu i przerażenia napełniał całą tę ohydną budę i każdy z nas widział nad sobą pałkę, która ma zamknąć dni jego żywota.

Ja zawyłem parę razy, więcej z gniewu i bezsilnej niemocy, niż z rozpaczy, lecz potem zachowywałem się już z godnością, jak wyżłowi przystało.

Nie chcę opisywać bezecnych scen, których byłem świadkiem, gdyśmy do psiarni przybyli. Jedne psy poszły pod pałkę, inne, co piękniejsze, od których jeszcze spodziewanym był sowity okup — pod klucz. Do tych ostatnich i ja należałem, niestety, nie dla mej urody, bardzo już podszarganej, lecz dzięki obroży i wyrytemu na niej adresowi. Nazajutrz pomocnik ohydnego mistrza, któremu z przyjemnością byłbym twarz rozszarpał, odprowadził mnie na sznurku do domu.

Było tu dużo zgorszenia i kazań i lamentów, lecz koniec końców wykupiono mnie i jestem dalej, stary i głupi Urwisz, na łaskawym chlebie.

Wierzcie mi, że jeśli jest jaka głupia sytuacya na świecie to sytuacya starego legawca. Gdybym choć był stróżem domu, to jeszcze jako stary sługa przydałbym się na co. Ale mnie do tego nie wprawiano, nie zwracam uwagi na to, co się dzieje w domu i na podwórzu — drzemię i śnię o minionych polowaniach — a zresztą już i słuch mój stępiał bardzo.

Jestem poprostu do niczego i mam całą świadomość, żem na nic nikomu nieprzydatny. Ot, stary, głupi Urwisz i kwita!

Ale niech się co chce dzieje. zaglądnę jutro do jatek...

St.

ŁOWIECTWO W KANADZIE.

(Dokończenie.

Przenieśmy się teraz w sławione ze swych łowieckich stosunków północno-zachodnie kraje Kanady. Zdążamy do Manitoby, a przedewszystkiem do jej miasta stołecznego Winnipeg, położonego nad jeziorem tejże samej nazwy. Nie więcej jak przed piętnastu laty stało tu zaledwie kilka blokhauzów; dziś mamy przed sobą miasto o ludności przeszło trzydziestotysięcznej, z pięknymi domami, hotelami, bankami, wystawami sklepowemi, teatrem i koleją miejską. Stąd urządza się też wycieczki myśliwskie w głąb prowincyi, tu zatrzymuje się każdy turysta, aby swój rynsztunek myśliwski uzupełnić i nająć przewodników. Winnipeg jest również węzłem dla pięciu linij kolejowych, krzyżujących się w zachodnio-północnej Kanadzie. Dwie z tych linii wiodą ku Stanom Zjednoczonym, a każda ułatwia myśliwemu dotarcie do właściwych terenów łowieckich.

Na jeziorach i rzekach Monitoby przebywa niezmierna ilość rozmaitego ptactwa wodnego. Zdarzają się często dwa gatunki dzikich łabędzi, pojawia się gęś kanadyjska, gęś śnieżna i ohar (*Tadorna vulpanser*). Z dzikich kaczek przebywają tu: świstun (*A. penelope*) cyraneczka (*A. crecca*) rożeniec (*A. acuta*), ogorzałka (*Fuligula marila*) i inne kaczki nurkowate. Znajdziesz tu zresztą baby pelikany, żurawie, kuligi wielkie, czaple siewki, bąki, warzęchy, kilka gatunków czajek, i mnóstwo innego drobnego ptactwa wodnego. Zresztą kniejotki kołnierzowe, kuropatwy stepowe (*Tetrao cupido*) i pardwy uzupełniają pierzastą zwierzynę na polach i w kniejach.

W lasach nie rzadkie są jeszcze jelenie Wapiti, łosie, reny Karibu, jelenie wirginijskie i mułowate (*mule-deer*), czarne i brunatne niedźwiedzie, wilki, lisy, rysie, rosomaki, nareszcie bóbr po wodach leśnych. Na wschodnich krańcach prowincyi Monitoby, pomiędzy stacyami Reunie i Monmouth, jest zwierz najgęściejszy; brak tam tylko rena leśnego. Najznakomitsze polowanie na kaczki jest w pobliżu stacyi Raeburn, o 35 mil ang. od Winnipegu. Skoro się zaś wyjedzie z Winnipegu koleją aż do miasta Selkirk, a potem wsiądzie się na czółno, to wzdłuż brzegów rzeki Czerwonej (Red River) można bić ptactwo wodne, że aż lufki się rozgrzewają.

W okolicy portu Aleksandra przy ujściu rzeki Winnipeg, licznym jest zwierzostan łosi i renów leśnych, a w okolicy Big Island i Grassy Narrows, pyszne są polowania na gęsi. Wybrzeża jeziora Monitoba znane są z bogactwa ptactwa wodnego, a w pobliskich górach (Riding Mountains) ma się łosia, jelenia Wapiti i jeszcze jeden gatunek jelenia o czarnym bukiecie. Łatwo też robić z Winnipegu jednodniowe wycieczki na kuropotwy stepowe, i w ogóle znaleść tu rozmaitość łowów, interesujących w wysokim stopniu zamiłowanego łowca. Nie brak tu i bardzo dobrych przewodników, których jednak i dobrze wynagradzać trzeba.

Lecz opuśćmy już Monitobę i wyruszamy dalej na zachód ku górom Skalistym i Kolumbii angielskiej. Dostajemy się niebawem do sąsiedniej prowincyi Assiniboja, a pociąg zatrzymuje się w mieście Brandon, które co do rozległości jest drugiem z rzędu w północno-zachodniej Kanadzie. Tu rozpoczyna się na prawdę kraina stepów, preryi, ktore wznosząc się stopniowo, sięgają aż do podgórza gór Skalistych, Jak daleko oko sięga, otacza nas tu step falisty, rzadko tylko łańcuchami nieznacznych wzgórzy poprzerzynany. Od czasu do czasu widzimy ciemne linie — to smugi drzew rosnących ponod rzekami, a na prawo i na lewo od drogi żelaznej ciągną się futory, farmy osadników, którzy się tu w ciagu ostatnich kilkunastu lat ze wschodnich prowincyi Kanady lub ze Stanów Zjednoczonych przesiedlili.

Głównem miastem prowincyi Assiniboja jest Regina. Leży ona w pośrodku dużej, urodzajnej, dobrze uprawionej równiny, która mnóstwo pszenicy wydaje. Stąd idzie poboczna linia kolejowa do Prince Albert nad Saskaczewanem, w głąb nieprzejrzanych lasów, które ukrywają w swej głębi wspaniały zwierzostan. W Prince Albert można się przeto zatrzymać i stąd urządzać łowieckie wycieczki.

Na głównej linii kolei kanadyjskiej „Pacific“, o 400 mil angielskich od Winnipegu, znajduje się stacya Moosejaw. Skoro się ją minie, stają się osady ludzkie coraz rzadsze, prerya nabiera monotonności, a pokrywa ją tylko krótka ruń bawola. Wkraczamy tu w ostoję antylopy „kabri“ i w wielkie obszary wypasowe bydła rogatego, t. z. Cattle Ranges, królestwz „Cow-Boyów“, tych odważnych i fantastycznych pasterzy stad, którzy połowę swego życia przebywają na siodle. Pomiędzy Cow-Boyami nierzadko trafić na potomków najpierwszych rodzin angielskich; są i tacy, którzy na uniwersytecie Oxfordzkim studyowali, ale swobodne, rozhulane życie na dzikich preryach bardziej im przypadło do smaku, niż ślęczenie za biurkiem w starym kraju. Cow-Boye odznaczają się nadzwyczajną gościnnością; w ich stannicach może też łowiec liczyć zawsze na bardzo uprzejme przyjęcie.

W tej części preryj, ścielących się u stóp gór Skalistych, jest zaprawdę istny raj myśliwski. Liczniejsze są tu znów jeziora i rzeki, a wszystkie okryte rojami ptactwa wodnego, dzikich gęsi, żórawi, pelikanów j wszelkich kanadyjskich gatunków kaczek. W nizinowych błotach można polować na kszyki, czajki, kuligi, w okolicach zaś wyżej położonych na kuropatwy stepowe i antylopy.

Koło stacyi Maple Creek znajduje się wielkie obozowisko Indyan, którzy tu wynoszą na sprzedaż rozmaite wyroby swego przemysłu domowego. O dwie godziny dalej zatrzymuje się pociąg w Medicine-Hat, rozwijającem się nowem mieście, skąd podejmywane bywają częste wycieczki łowieckie. Pomiędzy stacyami Medicine-Hat a Crowfoot, otwiera się już widok na łańcuch gór Skalistych, ale jeszcze długo jechać potrzeba stepem, nim się do nich dojedzie. Na prawo i na lewo od linii kolejowej ciągną się tu najsławniejsze niegdyś ostoje bawole. Dziś widzisz tylko tu i ówdzie bielejące kości i olbrzymie czaszki bawołów, których stada jeszcze przed 20 laty były dość liczne. Jestto kraj czarnonogich Indyan, najpiękniejszego i najbardziej wojowniczego szczepu tubylców. Niedobitki tego szczepu żyją dziś spokojnie na zastrzeżonej im „rezerwacyi“ nieopodal kolei i trudnią się nieco rolnictwem i chowem bydła.

Pod miastem Calgary dobiega pociąg do podnóża gór Skalistych i znajduje się już tu na wysokości 3400 stóp nad poziomem morza. Tutaj między wzgórzami, okrytemi niską krzewiną, wyborne są polowania na kniejotkę kołnierzową. Na północ od Calgary ciągną się ostoje zwierza płowego (czerwonego, jak mówią Anglicy, *Reddeer-Region*), mało dotychczas przeszukane. I tu roztacza się przed widzem wspaniała panorama gór Skalistych, z poszarpanymi grzbietami

gór i wspaniałemi turniami skalistemi, które wyglądają jak ruiny starych, olbrzymich zamczysk.

Pociąg kolejowy, opuściwszy Calgary, zatrzymuje się niezadługo na stacyi Banff, sławnej ze swych gorących źródeł siarczanych, którym przypisują wielkie własności lecznicze i do których też zjeżdżają się chorzy z bliska i z daleka.

Okolice stacyi Banff należą do t. zw. kanadyjskiego „parku narodowego", który rząd kanadyjski jako dobro publiczne rezerwował. Nic też dziwnego, że w tej uroczej krainie górskiej, pełnej przepysznych krajobrazów, wystawił zarząd kolejowy hotel o kształtach rozkosznego pałacu, obliczony na znaczną ilość gości, a urządzony ze zbytkiem nowożytnym. Mieszkania w tym hotelu nie należą do tanich; płaci się od osoby 4 dolary na dzień.

W pobliskich górach można polować na owcę górską i kozę śnieżną, można nawet w samym hotelu postarać się o przewodnika — ale przedewszystkiem należy się zgłosić do mieszkającego w miejscu inspektora parku narodowego i zasięgnąć jego rady. Z Banff podjechać można także do pobliskich jezior Vermillion i strzelać tam kaczki lub ryby łowić. Nieco dalej na zachód leży stacya Field, u stóp góry Szczepana, gdzie jest mały hotel, a raczej szalet górski. Pstrągów jest tutaj mnóstwo, ale dla polowań w górach nie warto się zatrzymywać.

Przebyliśmy teraz dział wód pomiędzy dwoma oceanami i dotarliśmy do górnego biegu rzeki Kolumbia. Łańcuch właściwych gór Skalistych leży już poza nami, góry zaś, które się tuż przed nami piętrzą, noszą nazwę „Selkirks". Tu można się zatrzymać na stacyi Golden, gdyż w górach, które ją otaczają, polują na owcę i kozę górską, także na czarne i brunatne niedźwiedzie. Kolej biegnie jakiś czas doliną rzeki Kolumbia, lecz potem porzuca ją, i wijąc się głębokiemi przekopami i tunelami wybiega w dolinę rzeki Beaver. Niedługo jednak i z tej doliny korzysta nasz pociąg; wrzyna się on niebawem w lasy i ponad przepaście dochodzi do przesmyku górskiego, tuż pod lodowce Selbirku, gdzie czeka nas piękny, w górskim smaku zbudowany hotel, skąd, znalazłszy dobrego przewodnika, można robić wycieczki na owce i kozy.

Począwszy od tego przesmyku na szczytach górskich, spuszcza się znów kolej ku dolinom, i osiąga niebawem stacyę Revelstoke, leżącą wśród pierwszorzędnej kniei łowieckiej. Od stacyi Revelstoke prowadzi boczna odnoga kolejowa do pięknego jeziora Arrow, po którem krąży należący do zarządu kolejowego parowiec.

Pomiędzy stacyami Nelson i Robson pobudował tu zarząd kolei cztery gospody, gdzie zarówno łowiec jak i rybak szczęśliwe dni przebywać mogą. Prowiantów i wszelkich przedmiotów, niezbędnych w codziennem życiu, dostać można niedrogo w Robson, a przebywający tu stale ajent zarządu kolejowego dostarcza zupełnego rynsztunku do wypraw myśliwskich.

Jadąc z Revelstoke główną linią kolejową, dojeżdża się do Komloops, znacznego miasta, leżącego już w pośrodku angielskiej Kolumbii. Jest tu bardzo rozwinięte górnictwo, a otaczające nas góry noszą nazwę „gór Kaskadowych", i to nie nadarmo, gdyż całe powietrze przepełnione tu jest szumem i łoskotem wodospadów. Wąskimi, skalistymi jarami i t. z. „kanionami" toruje sobie drogę rzeka Fraser aż do miejscowości Yale, gdzie się już dolina rzeki znacznie rozszerza, a brzegi jej urozmaicone są malowniczemi farmami i sadami.

W dolnym biegu Fraseru łowią ogromne ilości łososi; po całej rzece uwijają się liczne czółna Indyan, zajętych rybołostwem. Złowione tu łososie wysyłają po zamrożeniu do wschodnich prowincyi Kanady, lub pakują je w fabryce Canning do puszek blaszanych, jako artykuł handlu dla całego świata.

Pociąg kolejowy przebywa dalej bory, złożone z olbrzymich cedrów. Niejeden z tych kolosów ma do 12-tu stóp średnicy, a wysokością swą sięga do 300 stóp. Minąwszy te bory, zbliżamy się już ku morzu, a mianowicie do zatoki Burrarda i niebawem zajeżdża sapiąca i dymiąca lokomotywa do celu swej podróży, do portowego miasta Vancouver. Tu dopiero znużony i opalony łowiec może w wygodnym hotelu należycie wypocząć.

Vancouver jest największem miastem handlowem angielskiej Kolumbii. Z portu jego wypływają wielkie parowce kupieckie, udając się do Japonii, Chin, Honolulu i Australii. Naprzeciw miasta leży piękna wyspa Vancouver, porośnięta bujnymi lasami, pośród których leży polityczna stolica Kolumbii, miasto Victoria.

Na wyspie Vancouver osiedliły się już oddawna majętniejsze rodziny mieszczańskie z Anglii, wielu pensyonowanych oficerów armii i marynarki, co nie pozostało bez zbawiennego wpływu na tamtejsze życie towarzyskie. Klimat wyspy jest taki, że trudno sobie przyjemniejszego wyobrazić; lata nie są zbyt gorące, a zimy tak łagodne, że w ciągu całego roku kwitną rośliny pod gołem niebem. Angielscy koloniści zaprowadzili tu bażanta z Europy, który się rozmnożył i stanowi dość obfitą zwierzynę lotną. Przebywa tu także przepiórka kalifornijska, niemniej gruby zwierz, jak łoś, jelenie Wapiti, kolumbijski i o czarnym bukiecie. Jelenia wirginijskiego nie ma tu wcale, bo nie ma go w ogóle w całej Kolumbii angielskiej. Pojawiają się dość często pantery i podchodzą zuchwale pod siedziby ludzkie, lecz nikt się ich nie lęka, bo pantera gór Skalistych i kolumbijska nie jest tak strasnym drapieżcą, jak ją czasem przedstawiają. Boi się ona wystawiać na strzały swego pięknego futra, kryje się i umyka, a miejscowi myśliwi zowią ją wielkim kotem pełzającym.

W Kolumbii dbają starannie o ochronę zwierząt; w rozmaitych okręgach prowincyi istnieją też towarzystwa ochrony zwierząt łownych. Obcy płaci 50 dolarów za wystawioną na rok kartę myśliwską — nadzwyczaj wysoka taksa, która jednakże stosunkami miejscowymi jest uzasadniona. Idzie o to, aby zwierzostany chronić przed zawodowymi strzelaczami, którzy biją bez wyboru łosie, jelenie i owce górskie tylko dlatego, aby zdobyć rogi.

Wielkie rogi z jelenia Wapiti są już dziś rzadkością, a że ich amatorowie trofeów myśliwskich, szczególniej w Stanach Zjednoczonych, bardzo poszukują, więc cena ich idzie niesłychanie w górę. W ostatnich czasach skarżono się między innymi i na angielskich turystów, którzy nic sobie nie robili z czasu ochrony, a strzelając w niewłaściwej porze do owiec górskich, dawali tylko zły przykład swym przewodnikom.

Posiadacz karty myśliwskiej jest uprawniony w ciągu sezonu myśliwskiego ubić co najwyżej 10 sztuk zwierzyny płowej, t. j. jeleni kolumbijskich i mułowatych, 5 karibu, 5 owiec górskich, 5 kóz śnieżnych, 2 jelenie Wapiti i 2 łosie. Dla mieszkańców Kolumbii jest polowanie bezpłatne i im jednakże nie wolno bić więcej w ciągu sezonu, niż obcemu, który zapłacił za kartę myśliwską. Do łań jelenia Wapiti i do kur bażantów jest w ogóle strzał zabroniony. Na łosie, karibu, jelenie, owce i kozy górskie wolno polo-

wać od 15. września do 31. grudnia, na bażanty i przepiórki od 1. września do końca stycznia. Na zachód od gór Kaskadowych nie wolno polować z psami.

Polowania we wschodnich prowincyach Kanady i w Manitobie nie wymagają żadnych szczególnych wysileń, lecz do łowów w górach potrzeba tęgich nóg i silnego zdrowia. Nie można mieć zwłaszcza chorych nerwów, gdy się np. przyjdzie spotkać z niedźwiedziem Grizzly. Pokonanie tego niebezpiecznego rabusia uważają Indyanie, nie bez słuszności, za czyn męski.

* * *

Kanadyjska owca górska, zwana po angielsku „Bighorn“ lub tu i owdzie „Grosse-corne“, przebywa tylko w górach. Ma pewne podobieństwo do tybetańskej Argali, *Ovis Ammon*, lecz jest znacznie od niej mniejszą. Rogi jej są zupełnie takie same, jak rogi owcy Argali i u dorosłych, silnie rozwiniętych egzemplarzy, ważą około 40 funtów. Pięcioletni baran nie waży więcej nad 280 do 300 funtów, trafiają się jednak egzemplarze i o większej wadze. Długość jego dochodzi do 1·9 metra, z czego 12 ctm. przypada na ogon, wysokość 1·05 m.

Owce górskie trzymają się zazwyczaj w stadkach po 6 do 12 sztuk; ruja ich przypada na listopad, kocenie się w czerwcu lub lipcu. Matka wydaje zrazu tylko jedno młode, później stale dwoje jagniąt, które ze sobą wkrótce po okoceniu w niedostępne góry zabiera.

Sir John Richardson, Audobon, książę Max von Wied obserwowali i opisali tryb życia owcy górskiej. Ostatni z przytoczonych tu przyrodników widział ją po raz pierwszy na szczycie niebotycznej skały nadbrzeżnej, skąd się płynącemu w dole parowcowi przypatrywała.

W sposobie życia podobną jest owca kanadyjska do innych dzikich owiec i kóz, jak np. do kozicy, lub koziorożca alpejskiego. Jest ona do podziwu zręczną w spinaniu się i skakaniu po skałach, a jeśli co podejrzanego zoczy, chroni się zaraz na najniedostępniejsze szczyty i urwiska i tam, stanąwszy na jakiej wystającej skale, śledzi w około całe otoczenie. Jeśli wszystko jest spokojne i bezpieczne, spuszczają się owce kanadyjskie chętnie w doliny, nad brzegi rzek, pasąc się na bujnej runi. Zachodzą do rozpadlin i jaskiń, gdzie saletra i inne sole na skałach wykwitają, aby je lizać. W miejscowościach, gdzie się człowiek nigdy lub bardzo rzadko pokazuje, nie jest owca górska zbyt płochą; raz jednak poznawszy niebezpieczeństwo, jakie jej grozi od człowieka, staje się bardzo ostrożną i z daleka już przed nim umyka, podobnie jak przed wilkiem, którego się nadzwyczaj lęka.

Mięso owcy górskiej jest bardzo smaczne; z barana, zwłaszcza w czasie rui, ma zanadto ostrą i niemiłą woń. Silnej a delikatnej, miękkiej i elastycznej skóry, używają Indyanie do wyrobu swych ozdobnych koszul skórzanych.

W ostatnich czasach, po schwytaniu jagniąt żywcem, co należy do bardzo trudnych zadań, robiono próby z obłaskawieniem tychże i z krzyżowaniem owcy górskiej z owcą swojską. Mięso otrzymanych w ten sposób mięszańców, ma być nadzwyczaj delikatne i smaczne.

Jeszcze płochliwszą od owcy górskiej i trudniejszą do ubicia jest koza śnieżna (*Haplocerus montanus, americanus v. Capra columbiana*). Mniejsza rozmiarami od owcy górskiej, bo długość jej wynosi około 1·2 metra, a wysokość 68 do 74 centym., jest zresztą w budowie swej do zwyczajnej kozy bardzo podobną. Z powodu silnego porostu wełny, stanowiącej spód jej futra, i długich, twardych włosów, śnieżnej białości, wydaje się grubą i mniej smukłą, niż jest w rzeczywistości. W niektórych miejscach, jak np. na karku, grzbiecie i ogonie, nie ma całkiem porostu wełnianego, tylko sam włos. W tyle głowy wyrasta jej czub długiego, na wszystkie boki rozpadającego się włosa, który z długim włosem szyi i grzbietu tworzy rodzaj grzywy. Dolna szczęka zdobna jest w brodę o długich kędziorach. Bardzo bystry słuch i wyborny wiatr czynią ją nadzwyczaj czujnem zwierzęciem.

Koza śnieżna trzyma się stale najwyższych szczytów. W lecie najulubieńszem jej miejscem pobytu jest granica tających pól śnieżnych i lodowców; w zimowej porze spuszcza się nieco niżej, lecz trzymając się zawsze najwyższych gór. Zręczność, z jaka galopuje po kantach skał nad przepaściami i rozpadliny górskie przesadza, jest zadziwiającą; zdaje się, że to jakiś latawiec pomyka, a nie zwierz czworonożny. Pożywieniem kozy śnieżnej są porosty, mchy, kosodrzewina i w ogóle skąpa roślinność najwyższych szczytów górskich, na wysokości 4000 metrów nad poziom morza.

Czas kocenia się kozy śnieżnej przypada na początek czerwca. Młode kózki są nadzwyczaj zgrabne i wesołe. Mięso kóz śnieżnych nie ma żadnej wartości; jest łykowate i przesiąknięte ostrą, niemiłą wonią. Polują też na kozę głównie ze względu na jej futro, które jakiś czas, na równi z futrem pewnych małp afrykańskich, było w modzie i dobrze za nie płacono. Dziś cena jego jest znacznie niższą.

Skoro już jesteśmy przy opisie zwierząt kanadyjskich, warto jeszcze obznajomić bliżej czytelnika z jednem zwierzęciem łownem, które wprawdzie nie należy do fauny kolumbijskiej, lecz charakteryzuje najbardziej na północ posunięte puszcze Kanady, tj. z wołem piżmowym (*Ovibos moschatus*).

Kości, odszukane w niektórych starych łożyskach rzek Europy i Azyi świadczą, że szczególny ten zwierz zamieszkiwał ongi bardziej na południe wysunięte kraje. Widocznie twarda walka o byt cisnęła go coraz bardziej na północ, i dziś zaczynają się jego ostoje dopiero tam, gdzie już prawie brak warunków dla życia zwierzęcego i dla osad człowieka, bo dopiero za 60 stopniem północnej szerokości. Mieszkaniec tych pustyń odludnych, które Anglicy „*barren-grounds*“ zowią, żyjący pomiędzy tundrami arktycznej strefy, łączy wół piżmowy, w oryginalnej swej budowie, cechy owcy i wołu. Długość jego dochodzi do 2·4 metra, wysokość 1·1 metra, ogon krótki mierzy zaledwie 7 centymetrów. Na stosunkowo krótkich nogach spoczywa tułów gruby i dość niezgrabny, o krótkiej szyi, głowie niezgrabnej, wąskiej, lecz podobnej do głowy wołu, z rogami wołu potężnymi, zakrywającymi całe czoło i ku przodowi wygiętymi.

Cały zwierz pokryty kudłami nadzwyczaj zbitemi i gęstemi, co się przebywaniem jego na wysokiej północy tłumaczy. Oprócz wełnistej okrywy, porośnięty jest włosem tak długim, że spada z niego w około jak derka kosmata i czyni go z pozoru jeszcze niższym i bardziej niezgrabnym — z pozoru tylko, gdyż w istocie jest szybkim i sprężystym w ruchach.

W odludnych swych ostojach trzyma się „umingarok“ — jak go Eskimosi zowią — w stadach mniej lub więcej licznych. Uczestnicy drugiej niemieckiej wyprawy podbiegunowej twierdzą, że we wschodniej Grenlandyi jest on dość licznym; widywali go w stadach po 20 i 30 sztuk. Nawet na najdalej posuniętych wyspach zachodnio-północnych przebywa wół piżmowy. Podróżnik Mecham widział tam raz z oddali około 150, drugi raz około 70 wołów piżmowych.

W stadzie nie bywa więcej, niż dwa do trzech byków dorosłych; bardzo przeważną część stada stanowią krowy.

Ruja przypada w sierpniu, a z końcem maja następuje cielenie się krów. Młode cielę jest stosunkowo do wzrostu matki bardzo małem i zgrabnem. Matka pielęgnuje je nadzwyczaj troskliwie, a w danym razie staje odważnie w jego obronie. Uczestnicy drugiej niemieckiej wyprawy podbiegunowej natrafili w jednej ze swych wycieczek saniami na stadko jedenastu umingaroków, między którymi było troje cieląt. Na razie nie objawiały zwierzęta żadnej obawy, lecz w końcu przeważna część stada umknęła w popłochu. Pozostały tylko 3 krowy z dwojgiem cieląt, i te, schyliwszy łby i przycisnąwszy się jedna do drugiej, prychając dziko, stanęły w obronnej pozycyi. Cielęta trzymały się poza niemi, a gdy które chciało się z ciekawości naprzód wysunąć, zaraz go stare poza siebie zaganiały. Parę strzałów zniewoliło całą tę obronną grupę do ucieczki, w ciągu której widać było starania krów, ażeby w pośród siebie cielęta utrzymać i nie dać im się zostać w tyle. Bieg wołów piżmowych jest niemal tak szybkim, jak antylop, a w spinaniu się po skałach dorównywają one kozom. Podróżnik Copeland nie mógł wyjść z podziwu, widząc, jak woły piżmowe biegły stromo w górę na stożki bazaltowe i w ciągu 3 do 4 minut przebyły 150 metrów bardzo uciążliwej drogi.

Wół piżmowy nie jest wcale niebezpiecznym dla myśliwego. Chcąc go dostać na strzał, kładzie się łowiec na ziemi i leży nieruchomo, czekając, dopóki umingarok, wiedziony ciekawością, ku niemu się nie zbliży. Eskimosi, nie posiadający broni palnej, godzą w umingaroka strzałami. Wyprawy swe myśliwskie urządzają w jesieni. Podszedłszy pod stado, drażnią byka, i w chwili, gdy ten rozjuszony na myśliwca się rzuca, puszczają strzałę z łuku, lub godzą weń oszczepem.

Mięso umingaroka ma wybitną woń piżma. U krów jest ta woń znacznie słabszą i mięso ich można ze smakiem spożywać. Tubylcy suszą połcie mięsa z wołów piżmowych na powietrzu i handlują nimi.

* * *

Jeszcze kilka słów o sposobach wyprawiania się na łowy w Kanadzie i o rynsztunku, jaki trzeba mieć ze sobą.

Na kanadyjskiej kolei „Pacific" wolno wprawdzie mieć przy sobie 150 funtów bezpłatnego pakunku, a pomiędzy Winnipeg i Calgary nawet 300 funtów — ale nie jest rzeczą pożądaną wlec ze sobą duże tłumoki. Zato trzeba mieć broń i wszystko niezbędne w jak najlepszym gatunku. Z broni palnej potrzebnym jest dubeltowy sztuciec ekspresowy cal. 500 i dubeltówka zwyczajna cal. 12, przydatna także do strzałów kulami. Jako broń rezerwową zaleca się dobrą kniejówkę, dwunastkę, do której ładunki w miastach kanadyjskich wszędzie dostać można. Pięćdziesiąt ładunków gotowych, w łuskach blaszanych, wystarcza zupełnie, jeśli się ma w tłumoku miarkę na proch, formę na kule i maszynkę do ładowania, gdyż prochu i ołowiu dostanie wszędzie. Dobry nóż myśliwski, szczególniej przydatny do obielania i rozbierania zwierzyny i piłkę do odcinania rogów i wieńców trzeba mieć ze sobą.

W późnej jesieni należy się zaopatrzyć w ciepłą odzież i w watowane rękawice skórzane. Dobrze sznurowane ciżmy, kamasze ze skóry i para ciżemek z podeszwami kauczukowemi, powinny być na nogach i w tłumoczku. Szkła polowe i worek siatkowy na zwierzynę są zawsze potrzebne. Wędka — choćby się nawet nie było wielkim rybołowcą — nie zawadzi.

Europejski turysta musi się także obliczyć z wydatkami pieniężnymi, które nie są małe. Pomimo zniżenia cen jazdy kolejowej na kanadyjskiej „Pacific", kosztuje zawsze powrotny bilet I. klasy z Liverpolu na Kwebek i Montreal do Winnipegu 32 funtów, do Vancouver 42 funtów. W tej cenie mieszczą się już koszta żywienia na parowcach z wyłączeniem trunków. Obiad na kolei kosztuje $^3/_4$ dolara (około 1·80), a miejsce w wagonie sypialnym 3 dolary. W Kanadzie żyje się taniej, niż w Stanach Zjednoczonych. W gospodach na prowincyi nie płaci się częstokroć więcej, niż dolara za całodzienne utrzymanie, a w farmach nie biorą więcej, niż 25 centów (około 60 naszych centów) za obiad i tyleż za konia — łóżko zaś i pościel dają darmo. Jednakże w lepszych hotelach większych miast kanadyjskich każą sobie płacić co najmniej po 3 dolary na dobę za całe utrzymanie.

Przewodnikom na polowaniach płaci się po $1^1/_2$ do 2 dolarów dziennie, prócz tego za wozy i konie. Jeśli się więc opędzi dzień polowania pięciu dolarami (około 12 zł.) to się wydało niewiele.

To są zwięzłe i najniezbędniejsze wskazówki co do wycieczek w *Dominion of Canada*. *J. Z.*

Cietrzew kaukaski.

Był to wypadek niezwykły w świecie ornitologicznym, gdy Władysław Taczanowski ogłosił w r. 1875 opis nowego gatunku cietrzewia, żyjącego na Kaukazie. Opis opierał się na egzemplarzu ptaka, którego przysłał przyrodnikowi leśniczy i zbieracz okazów przyrodniczych Młokosiewicz. Na cześć jego nowy cietrzew nazwanym został *Tetrao Mlokosiewiczi Tacz.* i tak jest dziś w zoologiach znanym.

Szczegółowy opis miejsc, w których ptak ten przebywa, zamieścił w ornitologicznym roczniku (*Ornithologisches Jahrbuch*) znany ornitolog niemiecki Wiktor v. Tschusi na podstawie dat, przysłanych mu przez zmarłego tymczasem Maksym Noskę, kierownika polowań W. księcia Sergiusza Michajłowicza. M. Noska dostarczył także Tschusi'emu kilka okazów cietrzewia kaukaskiego i dopiero przez nie rozszerzyła się bardziej znajomość tego rzadkiego dość ptaka.

Miejsce pobytu cietrzewia kaukaskiego jest ściśle ograniczone; jest on też ptakiem osiadłym, nie pojawiającym się wcale gdzieindziej.

W przeciwstawieniu do zwyczajnego cietrzewia, który posiada niejaką łatwość akomodacyjną i znosi do pewnego stopnia różnice przesiedlenia — jest cietrzew kaukaski tak wyłącznym, że nawet w swoich górach trzyma się tylko wysokich turni i przełęczy i nie schodzi w nich poniżej

4000 stóp nad poziom morza. Zwyczajną jego siedzibą jest rejon górski od 4500 do 11.000 stóp, t. j. do wysokości, na jakiej go jeszcze widział Młokosiewicz.

M. Noska stwierdza, że natrafiał cietrzewia kaukaskiego zazwyczaj na wysokości 5000 do 9000 stóp, czasem zaś wyżej, a nadzwyczaj rzadko poniżej 5000 stóp n. p. m. Widzimy więc, że w pionowym układzie, rozpoczynają się siedliska cietrzewia kaukaskiego dopiero tam, gdzie się cietrzew zwyczajny kończy, bo tego w górach ponad 6000 stóp prawie nigdzie nie ma.

Gdy granica roślinności na Kaukazie kończy sią na wysokości 6 — 7000 stóp, przeto siedliskiem cietrzewia kaukaskiego są karłowate kończyny lasów i zbocza krzewami okryte. Ale jest on i wyżej na bezleśnych a soczystemi trawami okrytych połoninach. Pomiędzy temi położeniami zmienia cietrzew swój pobyt w miarę zmian pory roku i warunków wegetacyi, której mu do utrzymania potrzeba.

Przeważnie północne stoki Kaukazu stanowią siedzibę kaukauskiego cietrzewia i oto obrazek tych stoków.

Niemal aż do stóp Kaukazu, nie przybierając stopniowo kształtów podgórza, ścielą się nieprzejrzane okiem stepy. Z tej strony wyglądają też straszniej i potężniej strome zbocza skaliste, niż od strony południowej. To też w miarę wznoszenia się terenu nikną rychło miejscowości zamieszkałe i uprawiane i następują całe pustynie bezludne, gdzie człowiek prawie nigdy się nie pojawia. To też dziewicza ta przyroda dostarcza najprzychylniejszych warunków bytu dla wszelkiego zwierza.

Góry piętrzą się tu terasami stromych, ostro poszarpanych zboczach, które poprzecinane są głębokimi jarami, służącymi za łożyska górskim strumieniom, toczącym ze szumem przeczyste swe wody. Większe kotliny należą do bardzo rzadkich wyjątków.

Podnóże gór okryte jest niezmiernymi lasami dębowymi, które stopniowo ku górze w buczynę przechodzą. Pomiędzy bukami, szczególniej na zboczach słonecznych, znajdujemy lipy, jawory, wiązy, jasiony, dzikie jabłonie i grusze, topole, osiki, brzozy i inne drzewa, czasem stanowiące samodzielne zadrzewienia, częściej jednak zmieszane z innemi. Podszyciem leśnem są leszczyna, głóg, kalina, ligustr, świdwa, trzmielina i inne. Do charakteryzujących szczególniej miejscowość należą tu żółto kwitnąca i odurzająca *Azalea pontica* i rzadszy *Rhododendron ponticum* o dużych dzwonkowatych kwiatach fioletowych. Ponad to wszystko wyciąga dziki chmiel swe zwoje lub pną się klematydy, wytwarzając zaplątaną gęstwę. Maliny, rzadziej ożyny, napotkasz wszędzie, tożsamo dzikie porzeczki i agresty, także borówki, rzadziej zwyczajną, częściej zaś *Vaccinium arcto-staphylos.* Potężne olchy, jasiony, brzosty, jawory i lipy rosną nad brzegami płynących jarami potoków.

Wyższe stoki górskie porasta wspaniała jodła (*Abies nordmanniana*) zmieszana z drzewostanem liściastym, rzadziej z świerkiem (*Picea orientalis*). Trafia sie tu również sosna w egzemplarzach iście wspaniałych, karłowaciejąca coraz bardziej ku górze. Cis jest rzadkim, modrzewia nie ma wcale.

Na wysokości 6.—7.000 stóp kończy się bogata szata leśna pasem karłowatego, krzaczystego zadrzewienia liściastego lub sosnowego, a pozatem ścielą się paszniste połoniny, znaczone tu i owdzie samotnie stojącemi lub małe grupy tworzącemi, staremi jodłami.

Stoki północne różnią się tu wielce pod względem swej flory od stoków południowych. Od strony północnej pas graniczny lasów stanowią krzewy karłowate jaworu (*Acer trautvetteri*), brzozy, olchy, jarzębiny, iwiny i inne. W cieniu buczyny zaś i daleko poza lasy ściele się istnemi poduszkami tuż przy ziemi biało kwitnący *Rhododendron caucasicum*, którego elastyczne i pogmatwane gałązki chód człowiekowi prawie uniemożliwiają. Ciemno-zielone, skórkowate liście tego krzewu odbijają już z daleka od jasnej zieloności traw. Borówka zwyczajna i bagnówka (*Empetrum nigrum*) znacznie rzadziej kamioneczka (*Vaccinium vitis idaea*) i sporadycznie pewien gatunek wrzosu (*Erica carnea*) przyłączają się do tej flory. Zwyczajnego wrzosu (*E. vulgaris*) nie ma wcale, jałowiec sawina trafia się miejscami.

Całkiem inaczej przedstawiają się stoki południowe w granicznym pasie lasów. Gdy od północy był las przeważnie liściasty, tu bierze prawie wyłącznie przewagę drzewostan szpilkowy, a mianowicie sosna obok rzadszego świerka, zawsze od siebie oddzielone. Jeśli wejdziemy w las sosnowy, to znajdujemy podszycie liściaste z brzozy krzaczystej, olchy, jarzębiny, iwiny itd. Inny zaś obraz przedstawiają bory świerkowe. Bezładnie leżą tu wywrócone od wichrów pnie, tworząc istne zasieki i labirynty. Ze starych, żyjących pni, które się jeszcze wichrom oparły, zwieszają się długie brody porostów, a kora odpada miejscami, pruchnieją..a i powiercona przez korniki. Na pniach leżących i wśród nich buja bogata roślinność, a tu i owdzie ślady pożarów, wzniecónych przez pasterza lub myśliwego, dopełniają obrazu zniszczenia.

Na krańcach lasów występuje o wiele częściej sosna, wcinając się długimi klinami w połoniny górskie i niknąc w nich coraz to niższemi, karłowatemi zakrzewieniami. Tu i owdzie stoją jednak i na samym krańcu leśnego pasu samotne, potężne egzemplarze sosny, urągając wichrom i burzom. Sosna jest tu w ogóle bardzo wytrzymała i nie potrzebuje wiele, aby się przy życiu utrzymać; zaczepi się korzeniami w jakiejbądź szczelinie skalnej, gdzie wichry trochę ziemi rodzajnej zaniosły — i rośnie.

Grunt jest tu w ogóle suchy, suchem igliwiem okryty, odsłaniający co chwila gołe, skalne pokłady, o cienkiej warstwie próchnicy w zagłębieniach.

Rzadko kiedy zakłóca stopa człowieka uroczystą ciszę tej pustyni, a jeśli ją co budzi ze snu wieków, to chyba śpiew drozda białobręcza, który tu dotrzymuje towarzystwa cietrzewiowi.

Na południowej stronie gór nie ma wcale rododendronów, lecz zato po zboczach wschodnich i zachodnich pojawiają się one w kombinacyach przechodnich, rozgraniczając florę południowych od północnych stoków.

Połoniny ponad granicą lasów są gęsto trawami okryte i w chwilach rozkwitu przedstawiają się oku jak kobierzec różnokolorowy. Już z jarów leśnych wyziera piękna lilia kaukaska, a w kobierzec połonin wplatają się: żółty pierwiosnek, fioletowe aurykle, tulipany, oman żółty, skabiozy, starce, tojady, goryczki, bratki w różnych odmianach, kozłek, wierzbówki, lny (*Linum hirsutum*) rdesty, szerokolistne ciemierzyce i mnóstwo innych. Gdzie owce mają swą całoroczną koszarę, tam ginie ta bujna roślinność na kilka lat, a pojawiają się tylko szczawie i pokrzywy.

Ponad połoninami bierze coraz bardziej górę szary, nagi kamień, tworząc olbrzymie schody i poszarpane turnie i kończy się martwymi, wiecznym śniegiem okrytymi szczytami. Zdaje się, że nie ma tu już żadnej wegetacyi, a przecież i tu znajduje cietrzew jeszcze pożywienie dla siebie.

Krzewy na granicy lasów są najwłaściwszą i najmilszą dla cietrzewia kaukaskiego pieleszą, szczególniej w zimie, bo dają mu nietylko osłonę przed srogością wichrów i śnie-

gów, ale także i żer w ziarnie brzóz i jagodach jarzębin. Gdy jednak wiosenne słońce zawita, wystarczają cietrzewiowi i same połoniny. Wśród krzaków rododendronu ściele kura wygodne gniazda i znajduje ochronę dla swych piskląt. To też miejscowości, w których się łączą krzewiaste krawędzie lasów z kobiercami rododendronów i pasznistemi połoninami, a gdzie nie brak i dekoracyi skalistej — oto właściwe siedlisko kaukaskiego cietrzewia. Trafia się to szczególniej w małych kotlinach, gdzie biją źródła, sączące się dalej drobnymi ponikami. W cieniu skał rzucają się tam rododendrony i rozmaite inne krzewy, źródliska otacza bujna zieleń, pełna traw, kwiatów, nasionek i drobnych owadów, tak bardzo potrzebnych dla młodego pokolenia cietrzewi, a u stóp skały, gdzie woda wytryska, mnóstwo jest czystego i gruboziarnistego piasku, który kurakom do trawienia jest niezbędny. Bardziej puste i nagie skaliska pozostawia cietrzew swej towarzyszce górskiej, kamionce kaukaskiej (*Megaloperdix caucasica*). To jednak pewna — i stwierdza to Noska — że nawet w ciągu zimy można bardzo wysoko, bo na 9.000 stóp nad p. m. znaleźć jeszcze cietrzewia, który mimo wielkich mas śniegu jakoś daje sobie radę. Są to jednak wyjątki, cietrzew bowiem jest dobrym znawcą zmian powietrza, i przed spadnięciem znacznych śniegów chroni się pospolicie do wysokopiennego lasu i tam zimę przebywa, nietylko dla ochrony od śniegów, lecz i dla wydatniejszego żeru, jaki o tej porze w lesie może wynaleźć. W lasach gęstych, zwartych, a szczególniej w borach szpilkowych nie szuka schronienia i nigdy go tam nadybać nie można.

J. Z.

KORESPONDENCYE.

Woziłów w listopadzie 1896.

(Towarzystwo myśliwych w Bakaczowcach).

Każdy prawie z piszących sprawozdania myśliwskie do *Łowca*, opisując polowania w kniejach, któreby w jak najlepszem chciał przedstawić świetle, narzeka przedewszystkiem na czas szkaradny łowom niesprzyjający, wskutek którego rezultat polowania pod względem ubitej zwierzyny nie jest już tak dobrym, jakby się tego spodziewać było można.

Nie przeczę też temu, że i ja naszą knieję Bukaczowiecką w różowych pod każdym względem chciałbym przedstawiać zawsze kolorach — a przecież słusznie podnieść muszę niezbyt przyjazne okoliczności, towarzyszące naszemu czterodniowemu polowaniu jesiennemu.

Najpierw bowiem ciemność kniei — z powodu tak niezwykle długo, przy tak ślicznej i ciepłej jesieni, trzymających się liści na drzewach — zarówno nam, jak i wszystkim wcześnie w październiku polującym myśliwym, dała się we znaki. Strzał bowiem do słonki, ten główny cel i urok polowań październikowych, tak był utrudnionym dla każdego z myśliwych, stojących przed zieloną ścianą gęstwiny, a mających najczęściej i drugą taką samą za sobą, że chyba liczniejsze, niż zwykle być musiały tego roku pudła do słonek.

Niełatwem też było i zadanie nagonki, bo wyparcie zwierza na linię, gdy w lesie jeszcze tak ciemno, szczególniej z gąszczy, bardzo jest trudnem.

Powtóre, silny wicher przez trzy dnie naszego polowania dokuczył bardzo towarzyszom naszej drużyny myśliwskiej.

Polowaliśmy tedy w roku bieżącym, jak wspomniałem, przez cztery dni, a to od 13. do 16. października włącznie, a naokoło 100 strzałów padło sztuk 25, mianowicie: dzików 7, rogaczy 6. słonek 9, jarząbek 1 i lisów 2.

Z liczby 25 naszych towarzyszy, stawiła się niestety zaledwie połowa, a i ta nie całych 4 dni placu dotrzymała.

Przypisać to chyba muszę — nie zniechęceniu do kniei Bukaczowieckiej, która coraz nam lepsze daje rezultaty — lecz chyba temu, że większość naszych towarzyszy, to gospodarze zawodowi, którym nie tak łatwo na dni kilka oderwać się w październiku od spóźnionej z powodu tegorocznej posuchy siejby, od kopania kartofli i innych zajęć gospodarskich.

Na polowaniu więc zimowem, które będzie w grudniu, pewno liczniej się zjadą towarzysze nasi, a może wtedy i rezultat polowania, jeśli nie jakościowo, to choć liczebnie lepszym się okaże. Wtedy bowiem strzelać będziemy i do zajęcy, których, jak się zdaje, jest tego roku dosyć, a których nie strzelamy na polowaniach jesiennych.

Rogaczy powinno było paść więcej, ale z powodu małej ilości myśliwych, a dość dużych miotów, wiele ich uszło bez strzału. Że i dzików na rozkładzie powinno było znaleść się więcej, tego dowodem niech będzie fakt, że drugiego dnia polowania w kniei „Wiszniów“ na 12 myśliwych strzelało w dwóch miotach jedenastu do dzików, a tylko trzy sztuki tego dnia podjęto.

Słonek także znacznie więcej paść mogło, bo było ich dosyć, ale jakoś śruty często je omijały i nie przerywały ich szybkiego lotu. Z powodu też słonek, których w Bukaczowcach bywa zwykle dużo, postanowiliśmy i w przyszłości polowanie jesienne urządzać w połowie października.

Na zakończenie niniejszej korespondencyi pozwolę sobie zestawić wykaz ubitej zwierzyny od chwili zawiązania się naszego Towarzystwa Bukaczowieckiego. Oto na pięciu polowaniach w latach 1894, 1895 i 1896, padło dzików sztuk 23, rogaczy 58, lisów 24, zajęcy 216, jarząbków 3 i słonek 11. Razem sztuk 335 na strzałów około 900.

Marceli Bogdanowicz,
sekretarz Towarzystwa.

Z Tomska na Sybirze*)

(Polowania na cietrzewie.)

Pierwszy śnieg ma dla myśliwego urok niewypowiedziany, zwłaszcza tu, na Syberyi, gdzie myśliwy spieszyć się musi, dopóki nie spadną większe ilości śniegu, uniemożebniające polowanie bez wielkich drewnianych łyżew, któremi tutejsi mieszkańcy wybornie posługiwać się umieją, a bez których wypadłoby zupełnie w śniegu zatonąć. Na

*) Powtarzamy tu za innemi pismami ciekawy ten ustęp z korespondencyi sybirskiej.

szczęście nie trudno jest nauczyć się chodzić na tych łyżwach, podbitych skórą z nóg jelenich sierścią w tył, a to aby można wdzierać się na zaspy i wzgórza. Ostre bowiem uwłosienie nóg jelenich przeciwdziała obślizgiwaniu się z wyniosłości.

Tymczasem polujemy po niezbyt głębokim śniegu przeważnie na cietrzewie z nagonką. Używa się do tego sztucznych cietrzewi, dość zręcznie zrobionych z czarnego, białego i czerwonego sukna (cienie, bałwanki). Takiego sukiennego cietrzewia umieszcza się na brzozie, w pobliżu której urządzona jest budka, dająca schronienie myśliwemu. Poluje się dwa razy dziennie, t. j. o rannej i wieczornej zorzy. Polowanie jest pełne uroku. Trzeba mieć atoli wprawnych konnych zaganiaczy, o których zresztą w każdej wiosce nie trudno. Za dwa takie zagony, t. j. ranny i wieczorowy, płaci się zaganiaczowi 50 kop.

Zwykle zbiera się paru myśliwych, którzy najmują kilku konnych zaganiaczy. Spłoszone cietrzewie siadają prawie zawsze na drzewie, na którem widzą sztucznego ptaka. Wtedy myśliwy strzela swobodnie. W okolicy, gdzie zwierzyna nazbyt jest płoszoną, cietrzewie nie ulatują po pierwszym wystrzale. Trzeba tylko strzelać do najniżej siedzącego, aby zwierzyna, spadając z wierzchołka po gałęziach, nie płoszyła sztuk niżej siedzących. Spłoszone cietrzewie przelatują do drugiego myśliwego, a pozostawiwszy tam ofiary, powracają znów do pierwszego. Zręczni zaganiacze nie wypuszczają ich z rejonu, w którym czatują myśliwi, ukryci w pobliżu wypchanych ptaków. Proszę sobie wyobrazić, że dzieje się to o zmierzchu rannym lub wieczornym. Ożywiona kanonada trwa zwykle jakąś godzinę, poczem myśliwi powracają z obfitym łupem i przy gorącym samowarze spożywają wesoło przyniesione zapasy.

Dla europejskiego myśliwego niezmiernie dziwny widok przedstawia tutejszy biały (zimą) zając. Przyznam się, że spotkawszy po raz pierwszy w lesie, na czarnej stopie, takiego na pół białego zająca, mimowoli zapomniałem o strzelbie, którą trzymałem w ręku. Trudno uwierzyć, aby to zwierzę graniaste, podobne raczej do kota lub do psiaka, miało istotnie być zającem. Na śniegu zając tutejszy jest tak biały jak śnieg. Stojąc w jego pobliżu, dostrzedz go trudno, jedynie zdradzają go ruchy uszu, których końce są czarne. Futro bardzo piękne puszyste, noszone przez kobiety uboższe, podobno jest bardzo ciepłe. Formami ciała zając tutejszy różni się od naszego szaraka, przypominając raczej królika. Łeb mniejszy, uszy znacznie krótsze, ślad na śniegu zaledwie podobny do śladu zajęcy naszych. W lecie też, aczkolwiek ubarwienie jego jest szare, nie przypomina ubarwienia naszych zajęcy, a podobne jest raczej do barwy szarego zwyczajnego królika. Mięso jest mniej smaczne, aniżeli naszego zająca. Kuropatwy są tu podczas zimy również białe, bardzo piękne. Niestety! nie zdarzyło mi się ich strzelać.

Sprawozdania łowieckie.

Dawno już nie było tak głucho w kniejach naszych pod jesień i z początkiem zimy. Polowano tak mało, jak rzadko. Jesień, długo ciepła, sucha i wietrzna, płosząca zwierza spadającym liściem, nie nęciła do kniei. Później, gdy na drzewa, z których jeszcze liść nie zupełnie opadł, spadły śniegi obfite, mieliśmy do czynienia z okiścią, która udaremniała dobre prowadzenie nagonki. Potem nagły skok do siarczystych mrozów i również nagłe odwilże nie zachęcały do łowów. W ogóle nie mamy do tej chwili spokojnej, polskiej stałej zimy, tego najmilszego tła do łowów kniejowych i dlatego też dochodzi nas tak mało sprawozdań o odbytych polowaniach jak nigdy. Miejmy nadzieję, iż w grudniu poprawią się polowania i nadpłyną liczniejsze raporty mymyśliwskie.

Z Galicyi.

— Na polach Ordynacyi łańcuckiej, u hr. Romana Potockiego odbyły się polowania w dniach 26. i 28. października, 4. i 5. listopada. Polowanie rozpoczynano każdego dnia a godz. 1-szej popołudniu. Pogoda była niejednostajna. Dnia 26. października, przy pogodzie zmiennej, ubito w 9 strzelb w rewirze Betulin 202 bażantów, 140 zajęcy, 4 kuropatwy i 2 sztuki innego ptactwa. D. 28. października, przy dobrej pogodzie, ubito w 8 strzelb w rewirze Lubartów 311 bażantów, 115 zajęcy, 3 kuropatwy, słonkę, 5 indyków dzikich i 1 sztukę innego ptactwa. D. 4. listopada, wśród śnieżycy, ubito w 8 strzelb w rewirze Korczak 596 bażantów, 199 zajęcy, 6 kuropatw i 2 słonki. D. 5. listopada przy dobrej pogodzie ubito w 8 strzelb w rewirze Romanówka 535 bażantów i 52 zajęcy. Razem padło 1.644 bażantów, 506 zajęcy, 13 kuropatw, 3 słonki, 5 indyków dzikich i 3 sztuki innego ptactwa — razem 2.174 sztuk.

— W Witkowicach, u p. Feliksa Śmiałowskiego, odbyło się dnia 26. listopada polowanie w 12 strzelb, na którem ubito 26 zajęcy, 9 bażantów i 3 kuropatwy.

— W Kętach, gdzie na obszarze kilku tysięcy morgów dzierżawi polowanie Krakowska Spółka myśliwska, polowano dnia 27. listopada i ubito rogacza, lisa, 79 zajęcy, 5 kuropatw i cietrzewia.

Z Królestwa Polskiego.

— W Jabłonnej, dobrach hr. Augusta Potockiego, odbyło się polowanie, w którem brał także udział Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz. Na polowaniu tem padło: 397 zajęcy, 26 kuropatw, 3 słonki, 2 rogacze i jastrząb.

— W Nieborowie, majątku ks. Michała Radziwiłła, na trzydniowem polowaniu w 5 strzelb ubito 263 sztuk zwierzyny.

— W Kobielach Wielkich (pow. nowo-radomskim), u p. K. Tymowskiego, w dniu 3. listopada w 12 strzelb ubito: 8 kozłów, 2 lisy, 63 zające i kuropatwę.

— W Strzegocinie, u p. Gustawa Zielińskiego, w dn. 6. i 7. listopada w 6 strzelb ubito; 2 kozły, lisa, 40 zajęcy i 12 kuropatw, oraz orła płowego.

— W Łosiu, u p. Wł. Mysyrowicza, w dniu 9. listopada odbyło się polowanie, na którem w 5 strzelb ubito: 2 dziki i 3 kozły.

— W Sulimowie, (pow. tureckim), u p. Jana Unruga, polowano w dniu 12. listopada w 16 strzelb i ubito: 136 zajęcy i 2 rogacze.

— W Michałowie (w pow. grójeckim), u p. Dal Trozzo w dniu 16. listopada w 8 strzelb zabito 2 kozły, 4 lisy i 62 zające.

— W Kruszynie (w pow. noworadomskim), u ks. Stefana Lubomirskiego, w dn. 25. i 26. listopada odbyło się polowanie, na którem padło 628 zajęcy, lis, 6 kuropatw i 27 cietrzewi.

— W Olesznie (w pow. lipnowskim), u p. Antoniego Karnkowskiego, w dniu 28. listopada polowano w 10 strzelb i ubito: 54 zające i 10 kuropatw.

— W Górach, u p. L. Dembińskiego, na polowaniu odbytem w dniach 18. i 19. listopada w 10 strzelb ubito: 7 rogaczy, 1 lisa, 182 zajęcy i jastrzębia, razem 191 sztuk.

Z Wielkopolski.

— W Rokossowie, w Księstwie Poznańskiem, u księcia Zygmunta Czartoryskiego, odbyło się w dniach 3., 4. i 5. listopada polowanie, w którem brali udział prócz dostojnego gospodarza Pp.: Książę K. Radziwiłł, ks. A. Czartoryski, hr. K. Łubieński, hr. M. Żółtowski. hr. J. Potocki, hr. J. Czarnocki, pp.: S. Modlibowski, J. Morawski, S. Gawroński, A. hr. Krasicki i A. hr. Grudziński. 1 i 3 dnia polowano w polu, 2 w lesie. Pogoda nie sprzyjała polowaniu, szczególnie 2-go dnia, czas był fatalny, naprzemian bowiem padał deszcz ze śniegiem. Ogólny rezultat był następujący: 6 rogaczy, 2 lisy, 540 zajęcy, 6 królików, 2 słonki, 25 bażantów, 20 kuropatw. Królem polowania był hr. K. Łubieński na 81 sztukach.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Opieszałość w uiszczaniu wkładek, względnie prenumeraty na „Łowca“, wpływa nadzwyczaj szkodliwie na całe wydawnictwo i powoduje niemiłe opóźnienia, którychby nie było, gdyby szanowni członkowie i prenumeratorowie raczyli wcześnie o wkładkach i odnowieniu prenumeraty pamiętać. Dalszą przyczyną opóźnienia tego numeru i grudniowego, który niebawem roześlemy, jest również pewne zobojętnienie naszych łaskawych korespondentów. „Łowiec“, zapełniony tylko samemi rozprawami, przestałby być pismem aktualnem, tymczasem w ostatnich miesiącach oczekujemy nadaremnie listów, donoszących nam z różnych okolic kraju o ruchu łowieckim, o stanie zwierzyny łownej, o sperandach na dalsze sezony łowieckie itp. Apelujemy więc gorąco do wszystkich serc łowieckich, żeby o „Łowcu“ po dawnemu pamiętały, do wszystkich prawych myśliwych, ażeby się nie ociągali z nadsyłaniem nam łowieckich zapisków. Najmniej zarażonym chorobą wieku — apatyą — były dotychczas zastępy naszych dzielnych łowców. Niechże dadzą dowód, że nie ulegają tej zgubnej epidemii i utrzymują dalej żywe stosunki z „Łowcem!“

Walka z sępem. W lesie niedaleko Takowy w Serbii natrafił chłop sępa, którego łatwo podszedł, gdyż ptak był bardzo obżarty i nie zdołał wzlecieć. Mimo to nie udało się chłopu pokonać sępa — owszem otrzymał od niego bardzo ciężkie cięcia i musiał uchodzić, ażeby nie uledz pod ciosami rozjuszonego ptaka. Dopiero zawołał drugiego chłopa pracującego nieopodal, i zaledwo we dwójkę zdołali sępa zabić. Pierwszy z chłopów ma jednak prawą rękę tak poszarpaną, że stracił w niej władzę.

Kwiczołów bardzo wielkie ilości chwytają w Hanowerze, w okręgu Hümmling. Są tam wzgórza porośnięte obficie jarzębiną, która przywabia kwiczoły i dłuższy czas je zatrzymuje. W mglistych dniach tej jesieni dostało się bardzo wiele kwiczołów w siecie. Na stacyi kolejowej w Lathen nadano ich więcej niż 16.000 sztuk. Upakowane w koszach po 50 sztuk, wędrują one do Paryża, Londynu, Antwerpii i Amsterdamie. Cena kwiczoła na miejscu w Hanowerze wynosi 13 do 16 feników, lecz kupiec bierze na miejscu przeznaczenia po 25 do 30 feników za sztukę. Łowami kwiczołów zajmują się szczególniej chłopaki szkolne w czasie jesiennych feryi. Jest wiele ubogich rodzin, którym chwytanie kwiczołów przynosi po kilka a nawet do 10 marek dziennie.

300 kilogramów jaskółek! Taki napis nosi doniesienie z Medyolanu, z czasu jesiennego przelotu jaskółek przez Włochy. Oto w wąwozie Montegrade, jednym z głównych przesmyków półwyspu włoskiego dla wędrownego ptactwa, zasiadło trzech „myśliwych“ i ułowili sieciami 300 kilogramów jaskółek. Ptaki zostały natychmiast pobite i na targ do Genny odstawione, gdzie za jaskółki płacą jak za delikatesy.

A więc masalne mordy ptactwa pożytecznego nietylko nie ustają we Włoszech, lecz potęgują się i grożą naprawdę wytępieniem naszych wiosennych gości. Rząd włoski ustanowił opłatę po 20 lirów od karty myśliwskiej, na podstawie której wolno każdemu w całych Włoszech na wszystko polować — i sądzi, że zrobił już wszystko, co do niego należy.

O bocianach ciekawą historyę opowiadają pisma szwedzkie. Oto na jednej z chat chłopskich gnieździła się para bocianów. Gdy bocianica zniosła dwa jaja, podkradł się właściciel chaty, wyjął jedno i położył natomiast świeże jajo kacze. Bocianica siedziała na obu jajach i równocześnie wylęgły się z nich młode, z jednego bocianiątko, z drugiego kaczę. Skoro to pan małżonek-bocian ujrzał, stanął w groźnej postawie przed małżonką-bocianicą, i wywiązała się długa rozmowa za pomocą klekotania, zakończona tem, że bocian odleciał i wkrótce z gromadą dziesięciu bocianów na sądy nad bocianicą powrócił. I teraz wszczęło się hałaśliwe klekotanie wszystkich bocianów, poczem wszystkie, uznając oczywiście bocianicę za niewierną, skoro mogła wydać jajo, z którego się kaczę wylęgło, uderzyły na nią dziobami i zadzióbawszy wyrzuciły martwą z gniazda.

Gołębie pocztowe, mające w danym razie zastępować telegraf i pocztę, gdy ich nie ma pod ręką, zwłaszcza w czasie wojny, zaczynają być przez wojskowość na seryo traktowane. W wojnie prusko-francuskiej w r. 1870, oddały gołębie jak wiadomo wielkie usługi. Potem złożyły dowody swej użyteczności w Tonkinie, bez pretensyi do jakichkowiek medali, a niedawno odegrały ważną rolę w wojnie Japonii z Chinami.

Do usług pocztowych zaczęto używać gołębi w czasach bardzo odległych. Darwin wspomina, iż pierwsza wzmianka o gołębiach podróżnych pojawia się za piątej dynastyi egipskiej, tj. na trzy tysiące lat przed Nar. Chr. Za czasów Faraonów okręty zbliżające się do brzegów Kandyi i Cypru oznajmiały o swem przybyciu za pośrednictwem gołębi, umyślnie w tym celu tresowanych. Uczeni badacze twierdzą, iż egipskie gołębie pocztowe pochodziły z Persyi. Grecy, którzy zwracali baczną uwagę na każde ulepszenie, poświęcili gołębie Wenerze i jednocześnie zaczęli ich używać do ogłaszanie zwycięztw, odniesionych w grach olimpijskich. Rzymianie, naśladujący we wszystkiem Greków, zajmowali się gorliwie hodowlą gołębi. Stali się z czasem mistrzami w budowie gołębników i wprowadzeniu genealogii rasowych gołębi. Posiadali gołębie czystej krwi, za które płacono bajeczne ceny, i o które ubiegali się potomkowie możnych rodzin. Gołębie służyły z początku do przesyłania wiadomości o rezultatach wyścigów i walk gladyatorów, później zaczęto ich używać do służby w warowniach, jak np. przy obleżeniu Modeny, gdzie Decimus Brutus został otoczony przez Wielkiego Antoniusza. W wiekach średnich prowadzono dalej hodowle gołębi, posługując się nimi zarówno w czasie pokoju jak i wojny.

W naszych czasach gołąb pocztowy nabrał charakteru militarnego; ma swe koszary, swych zwierzchników, nawet stopnie i musi uczyć się i zdawać egzamina Nic niema ciekawszego nad odwiedziny gołębnika pocztowego; niemniej interesującym jest widok tych ptaków, gdy krążą około gołębnika sformowane w szeregi i oddziały. Dozorca zna swój skrzydlaty personal wybornie, które gołębie są

dobre, które gorsze: zupełnie złe bywają zjadane z groszkiem. Te ofiary same na siebie wydaią wyrok śmierci, powracając, by odpocząć wtedy, gdy inne latają wytrwale do chwili, w której dozorca pochyla chorągiew na znak, iż mogą wracać do gołębnika. Dłuższe podróże, odbywane w miarę postępów nauki, nie są wolne od niebezpieczeństwa dla młodych gołębi, na których zgubę czyhają orły, jastrzębie i myśliwi, mało się troszcząc o urzędowy charakter ptaków.

Niedawno temu, pod Mantuą w St. Lorenzo a Gabbiano, zjawił się całkiem niespodzianie świadek bitwy pod Aduą. Niejaki Botti spostrzegł w dziedzińcu swego gospodarstwa gołębia, odróżniającego się od innych, a przytem chorego i zmęczonego. Schwyciwszy go, dostrzegł na piórach skrzydeł jakieś liczby, a u nogi przywiązany jędwabnym sznurkiem mały zwitek pergaminowy. Pismo na zwitku było już bardzo wyblakłe, jednakowoż dały się odczytać słowa: „Ellena, IV. korpus wojskowy“. Generał Ellena wysłany był z artyleryą polową do Erytrei na kilka tygodni przed klęską pod Aduą. Był to gołąb pocztowy, który wypuszczony na granicy Abisynii, wrócił w rodzinne strony do Włoch. Przebył tedy ogromną przestrzeń, błądząc po drodze, i tak był zmęczony, że zdechł po kilku dniach w miejscu, gdzie zatrzymał się, aby wypocząć.

„Jack“. Królowa Wiktorya pozostaje pod wpływem wielkiego zmartwienia, którego przyczyną jest poważna choroba „Jacka“. Kto jest ów „Jack“? Ulubieńcem monarchini angielskiej jest biały jak mleko osieł egipski. Zwierzę to, służąc swej pani bardzo wiele lat, jest nieodstępnym jej towarzyszem podczas wszystkich spacerów w Windsorze i Balmoralu. Niejednokrotnie proponowano, aby weterana zastąpił zwinny poney, lecz królowa nie chce rozstać się z ulubionym „Jackiem“, darem lorda Wolseley. Osioł zadziwia białością swej sierci, jest w ogóle bardzo dobrze wychowany, ale posiada jedną wadę: podczas niepogody ryczy, ile mu sił starczy. Koncert ten nie jest zbyt przyjemny, ale za przykładem królowej wszyscy znoszą go z godną podziwu cierpliwością. Gazety angielskie wyrażają nadzieję, że „Jack“, pomimo bardzo podeszłego wieku, oszczędzi królowej zmartwienia i szybko powróci do zdrowia, zwłaszcza, że jest otaczany wielką troskliwością.

Zadziwiające szczegóły o szybkości lotu ptaków podaje naturalista Gaetke. Już przy badaniu szybkości lotu u gołębi przekonano się, że dochodzi ona czasem do 25 mil geograficznych na godzinę. Otóż Gaetke wykazuje, że lot wrony jest jeszcze szybszy i wytrwalszy. Wrony n. p., które opuszczają wyspę Helgoland o godz. 8-ej rano, przylatują na wybrzeże angielskie już o godz. 11-tej przedpoudniem, te zaś, które opuszczają Helgoland o g. 1. popołuduiu, są już w Anglii o g 5-ej pod wieczór, potrzebują przeto trzech godzin na podróż wynoszacą 80 mil geograficznych, czyli przebywają około 27 mil na godzinę. Niczem wszakże jest to w porównaniu z lotem rudzika szwedzkiego (*Erythacus suecicus*). Gaetke przypuszcza, iż ptaszyna ta odbywa całą podróż od ujścia Nilu aż do Helgolandu w ciągu jednej nocy, z szybkością 45 mil geogr. na godzinę. Wspomniany badacz opiera swe domysły na tem spostrzeżeniu, że rudzik szwedzki, który zimuje w Afryce, pojawia się nagle pewnego poranka wiosennego w znacznych stadach na Helgolandzie, podczas gdy na stałym lądzie środkowej Europy — wyjąwszy pojedyncze, słabe okazy — nie widać go nigdy jako ptaka przelotnego.

Karty myśliwskie we Francyi przynoszą skarbowi państwa nieposlednią sumkę. Zostały one zaprowadzone ustawą z d. 3 maja 1844 i opłata za nie wynosiła 25 franków rocznie, z których 10 franków przypadało dla gmin, leżących w obrębie dotyczącego polowania, a reszta wpływała do skarbu państwa. Ustawą z d. 23. sierpnia 1871 została ta opłata na 28 franków podniesioną i w takiej wysokości do dziś dnia się utrzymuje.

Dochód z udzielonych kart myśliwskich wzrasta z każdym rokiem. W r. 1857 wynosił 3 miliony, w r. 1861 4, w r. 1895 już 9 milionów, w r. 1884 11, a dziś przeszło 12 milionów franków, z których 4 miliony przypada kasom gminnym a 8 mil. wpływa do skarbu państwa.

Liczba myśliwych posiadających karty wynosi dziś około 450.000 tysięcy, tylko zwierzyny dla nich jest coraz mniej.

Na wytępienie ostatnich bawołów — jak donoszą z Ameryki — nie długo trzeba będzie czekać. Nadzorca t. z. „parku narodowego“, w którym starano się rozmaite zabytki zwierząt amerykańskich od zatracenia ustrzedz, nie może sobie dać rady z kłusownikami, którzy się do parku zakradają, bijąc, co im wlezie pod lufę. Pokusą dla kłusowników są ceny niesłychanie wysokie, do paru set dolarów dochodzące, jakie obecnie za skórę bawolą lub parę rogów tego zwierza otrzymać można. Jeszcze przed dwoma laty liczono stan bawołów w parku narodowym na 200 sztuk, dziś jest ich zaledwie 50, a i te się nie utrzymają, chyba że zostaną przepędzone w mniej dostępne strony, gdzie przyrodnicze warunki utrzymaniu ich i rozmnoży bardziej będą sprzyjały. Mowa jest przeto, aby użyć na ten cel „narodowego parku zoologicznego“ w Stanie Washington, i zdaje się, że w obronie resztek bawoła nastąpi istotnie to przesiedlenie.

Z dykteryjek myśliwskich. — Mówię ci, że Niemcy to okrutnie umią psy dresować — mówił mój młody znajomy, który dopiero co wrócił z praktyki lasowej *von Draussen*. — Jak ci Niemiec weźmie takiego „Stichelharigen“, to go nauczy przez kij skakać, aportować chustkę czy przepiórkę, do wody pójść za kaczką, wystawić bekasa nawet go bestya nauczy pić piwo i fajkę palić. Przykład tej cudownej dresury miałem raz na sobie. Poszliśmy na kuropatwy z naszym „Forstrathem“, który miał psa cudownego, nazwanego „Foxl“. ubiliśmy, co prawda, tylko jedną kuropatwę we dwójkę, ale za to trafiliśmy po drodze na gospodę, gdzie było wyborne piwo. „Forstrath“ fundował, a że było gorąco, więc palnęliśmy sobie po 6 czy 8 halb. Ja czułem się bardzo rozweselony, więc gdyśmy wracali, rozpędziłem się i przeskoczyłem z pustoty krzak leszczyny Skok był dobry, ale po drodze zaczepiłem o gałęzie łańcuszkiem od zegarka i zostawiłem go na krzaku. Uszliśmy z jakie pół mili, gdym się opatrzył, że nie mam zegarka. Powiadam tedy zrozpaczony do Forstratha, że muszę się wrócić, bo gdzieś zegarek zgubiłem.

— A, to bagatela! — zawołał Forstrath — mój Foxl to wyborny „Gebrauchshund“, on zaraz sprawę załatwi.

Woła tedy Foxla i mówi mu: „*Geh' Foxl, such' die Uhr sammt Ketten*“. Foxl pokręcił ogonem i puścił się jak strzała drogą, którąśmy właśnie przyszli. Ja z ciekawości pobiegłem także za psem, chcąc zobaczyć, co zrobi, a on szelma trąbę do góry i wietrzy, jak gdyby zegarek gdzieś na gwieździe był powieszony. I co pan powie, miał racyę bestya Foxl. Gdyśmy wrócili pod krzak leszczyny, przez który skakałem, ujrzałem na gałązce zegarek z łańcuszkiem, błyszczący do słońca. Foxl pobiegł dalej, ale wnet zawrócił, trzy razy okrążył krzak, a potem z radośnem szczeknięciem skoczył do góry, zdjął zębami zegarek z taką ostrożnością, jak gdyby był zegarmistrzem i przyniósł mi go do ręki. A co, jak pan myśli, tęga bestya, he?

— Prawda, tęga bestya — odpowiedziałem — ale to jeszcze nic w porównaniu z moją Dyanką, angielską wyżlicą. Znasz ją pan, panie tego. Nie? Nic nie szkodzi wkrótce się poznacie.

Otóż raz, panie tego, polowaliśmy na błotach. Dzień skwarny, powietrze jak w hucie, pić się chce — i co za szczęście, trafiamy na bijące z pod kamienia źrodełko. Ja, panie tego, miałem w torbie słoik z konfiturami i srebrną łyżeczkę, bo to panie tego najlepsza rzecz na pragnienie. Siadamy tedy, zjedliśmy cały słoik malin, opiliśmy się, panie tego, wody jak bąki i idziemy dalej. Chodzimy, chodzimy, strzelamy, już blisko wieczór, aż ja dopiero, panie tego, zmiarkowałem, że nie mam srebrnej łyżeczki. Gwałtu, pomyślałem, co to będzie! Łyżeczka, panie tego, z całego tuzina, z grawirowanemi literami, jak się żona spostrzeże, że jej nie ma, tożto będzie dopiero, panie tego, harmider po całym domu! Co tu robić? Wtem przychodzi mi na myśl, że moja Dianka, panie tego, to cudowna suka. Wołam ją zatem i mówię, panie tego: Dianka! Idź! Szukaj, panie tego srebrnej łyżeczki, z literami, panie tego!

Poczciwe suczysko rzuciło się zaraz do szukania i po godzinie panie tego, przynosi w pysku...

— Przyniosła łyżeczkę?

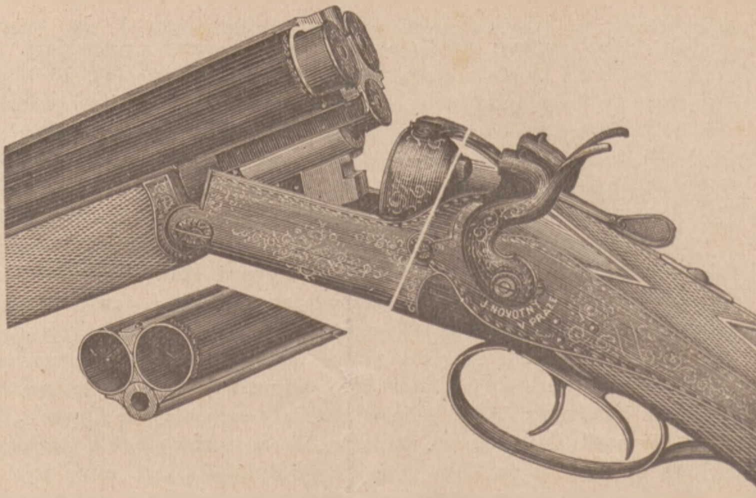
— Nie, panie tego, nie łyżeczkę, ale kawałek gazety trochę powalanej. Myślę sobie, panie tego, co to znaczy, bo suka okrutnie kontenta, ogonem wywija. Biorę tedy od niej gazetę, zakładam okulary i znajduję — no, wiesz co, panie tego?

— Cóż takiego?

— Inserat, panie tego: „Ogromny przewrót Nowego Jorku i Londynu... Pewna wielka fabryka towarów srebrnych została zmuszoną sprzedać cały swój zapas za bardzo niską cenę... Tuzin łyżeczek srebrnych za 68 centów u Jonasza Feitelesa w Wiedniu!“ No, rozumiesz, panie tego, jaka mądra bestya!

— I sprowadziłeś pan łyżeczki?

— Rozumie się, tylko że moja żona, zła jak Ksantypa, na trzeci dzień je wyrzuciła.



Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.